Nr. 13. Poznań, Niedziela 31go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

WIDMA.

W pamiętniku Koła polskiego w parlamencie niemieckim.

II.

Rozpatrując igły i sidła „ustawy przewrotowej“, trudno się oprzeć wrażeniu, że odegra ona rolę owych drutów kolczatych, któremi nieraz otoczone są klomby i ogrody. Rutynowany amator cudzej własności lub szkodnik przebiegły łatwiej ominie grożące niebezpieczeństwo, niż senny marzyciel, snujący się w głębokiej zadumie po ścieżkach i gościńcach, — niż swawolny młodzik, żywe i zapalne chłopie, ścigające na oślep barwne motyle. Już paragraf 130, scharakteryzowany wyczerpująco w ubiegłym tygodniu, zdradza ten charakter kolczatego parkanu, a świeże dzieje tarnopolskiego procesu świadczą wymownie, komu te igły w ciało by się wpiły. Monarchja, własność, małżeństwo, religia — ileż żywiołów polemicznych mieści w sobie każdy z tych wyrazów, ileż eksplodującego materyału spoczywa w dyskusyach na takiej kanwie wysnutych. Któż z ludzi myślących nie kruszył kopii w tych odwiecznych bojach, któż nie pytał: Strauss, czy Tomasz z Akwinu? Henryk, czy Pankracy? Helmer, czy Nora? Król, czy prezydent? — i któż pytamy, gdy dusza młoda rwała się ku słońcu, gdy w żyłach krew kipiała gorąca, gdy wygodna i ostrożna filisterya nie wyziębiła jeszcze płomienniejszych duchów, któż z nas wonczas nie miewał polemicznych uniesień i zapałów, któż nie wysyłał ostrych pocisków, na które dzisiaj czyha prokurator z § 130 w ręku? Mówi rząd niemiecki w motywach projektu, że ustawa będzie jedynie hamulcem dla *agitacyi* przewrotowej, dla rewolwerowych gazetek socyalistycznych, — ale z po za tej przejrzystej kurtyny wygląda inne oblicze. Swoboda myśli otrzymać ma pęta i kagańce, — wolne słowo paść ma pod obuchem policyi bez względu na to, czy płynie z ust zawodowego agitatora — rewolucyonisty, czy z ust zwykłego ideologa, broniącego własnych przekonań. Na ławie oskarżonych ujrzymy obok „palaczy socyalistycznych“, o których rząd tak straszne opowiada dziwy, tłumy „winowajców“ *przypadkowych*, młodzież rzucającą w polemicznej dyspucie zuchwalsze wyrazy, liberalniejszych dziennikarzy, kreślących słowo niebaczne w gorączkowym galopie redakcyjnym i owych polityków z ludu prostego, którzy myśli swoich w misterne zwroty nie układają.

I nie dość na tem. Spuścizna wielkich myślicieli ubiegłych czasów przestaje być otwartą skarbnicą dla potomków zagrożonych ustawą przewrotową. Być może, że prokuratorya nie rozporządzi na wzór średniowiecznych inkwizytorów publicznego *całopalenia* utworów *Spinozy*, lub *Erazma z Rotterdamu*, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w dziełach tych myślicieli znajdują się drastyczniejsze ustępy, dotyczące monarchii, których *cytowanie* poczytanoby za naruszenie kauczukowej ustawy.*) *Publiczne* powtarzanie zdań *Kanta* i *Wilhelma Humboldta* o małżeństwie lub poglądów *Woltera* i *Fryderyka Wielkiego* na religią stanie się występkiem, wiodącym na ławę oskarżonych, bo czyż opinja królewieckiego filozofa o instytucyi małżeństwa, opinja ochrzcona przez *Hegla* przymiotnikiem *„roh“*, nie uchodziłaby w oczach prokuratora za „obelżywe orzeczenie“, które dwuletniem więzieniem karze ustawa. Czyż artykuły cytowane z gazet socyalistycznych przez ministra Köllera nie są marnym fajerwerkiem wobec błyskawic i gromów ciskanych na religią w pamiętnikach Fryderyka Wielkiego?

*) Zwraamy również uwagę na Mommsena, historyą rzymcską (tom III str. 421), w której następujące znajduje się zdanie:
„Unter allen kläglichen Rollen giebt es keine klägliche als die mehr zu gelten als zu sein, und es ist das Verhängnis der Monarchie, da doch kaum alle tausend Jahre ein Mann aufsteht, der König nicht blos heisst, sondern ist, das diese Kläglichkeit unvermeidlich an ihr haftet“.
Słowa Mommsena są wyraźną obelgą dla monarchii i wielki historyk pada ofiarą nowej ustawy.

Posłuchajmy, co mówi ten „największy z królów pruskich“, przyjaciel Woltera, „mędrzec i poeta“. (Jeszcze ustawa nie uchwalona, jeszcze zatem wolno cytować):

„Fontenelle, Voltaire, Hobbes, Colins, Shaftesbury, Bolingbroke — wszyscy ci wielcy ludzie, wymierzyli religii cios śmiertelny. Ludzie zaczęli bliżej przypatrywać się temu, co dotąd *głupio* (auf stupide weise) uwielbiali; rozum powalił *zabobon;* odwrócono się z wstrętem *od bajek*, w które dotąd wierzono. Deizm zyskał wielu zwolenników. Podobnie, jak Epikureizm stał się zgubnym dla bałwochwalstwa pogan, tak deizm naszych czasów zwyciężył *wizye żydowskie*, uważane przez ojców naszych za prawdy.“

Tak mowi Fryderyk Wielki, a doczekamy się może chwili, w której cytowanie słów „największego z monarchów pruskich“ zaprowadzi do murów więziennych zuchwałego śmiałka.

Prokurator *contra* Fryderyk Wielki, a może nawet prokurator *contra* Mickiewicz — oto owoce reakcyjnych zachcianek.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad § 130 rządowego projektu ze względu na sensacyę, którą właśnie ten ustęp nowej ustawy wywołał w szerokich kołach społeczeństwa i z powodu igiełek wprowadzonych przez posła Rintelena do — „kolczatego parkanu“. Poglądy wypowiedziane przy charakterystyce tego typowego przykładu dążeń rządowych, zastosować można nieomal do wszystkich paragrafów nowej ustawy, bo w wszystkich przebija równa tendencya: *Spętać swobodę obywatelską, wolność słowa, prasy i literatury, zaprowadzić nieomal stan oblężenia w całym kraju i zdobyć sobie pałkę policyjną dla zmiażdżenia niewygodnej opozycyi.*

Dążenia te ilustruje niemniej jaskrawo § 111-a projektowanej ustawy. Na mocy paragrafu tego podlega karze więziennej (*maximum: 3 lata*) ten, kto pewne występki *pochwala lub uniewinnia.* Do występków tych należy: opór przeciw urzędnikom lub gwałt im zadany, rokosz (Aufruhr und Landfriedensbruch) kradzież, zburzenie budunków, zamach na zakłady telegraficzne itp. Dla informacyi dodajemy, że dotychczas podlegało karze (*maximum*: 1 *rok więzienia*) jedynie *wezwanie* (Afforderung) do karygodnych występków.

Zanim rozwiniemy konsekwencye tej niebezpiecznej nowacyi, przytoczymy pewien charakterystyczny ustęp z motywów załączonych do rządowego projektu. Mówią nam wnioskodawcy, że paragraf 111-a wprowadzonym został do ustawy z tego mianowicie powodu, że

„częstokroć ludzie wprawdzie nie zaprzeczają, że ten i ów czyn sprzeciwia się prawu, lecz z stanowiska rzekomo sprawiedliwszego światopoglądu uniewinić lub upiększyć go się starają“.

Te słowa zdzierają wszelkie tkaniny, któremi w dalszym ciągu „motywów“ rząd stara się osłonić intencye swoje, wskazując na podburzające apoteozy *anarchistycznych* „męczenników“, w zagranicznych pismach. Litera prawa urość ma do potęgi najwyższego dogmatu, a ktokolwiek marzyć się odważy o moralności innej, ktokolwiek zapatrzony w tajemne głębie ludzkich instynktów, porywów i namiętności wzniesie się ponad oportunistyczne postulaty życia zbiorowego i szepnie „Niewinni“, gdy stróże praktycznej sprawiedliwości wypowiedzą słowo potępienia — temu piętno występku nowa ustawa na czole wyciska. Myśli nasze i słowa mają otrzymać mundur urzędowy, a ktoby na czyny ludzkie rzucił okiem innem, niż okiem trybunałów niemieckich, winien będzie zbrodni. Jest to ukrócenie prawa dyskusyi w dziedzinie psychologii i etyki ludzkiej, jest to bezprzykładny hamulec dla owej filozoficznej tolerancyi, która nieraz tam, gdzie prawo potępia, widzi tylko „konieczność woli“, widzi potęgę okoliczności wyrzucającą ludzi z bitych gościńców pisanej ustawy, widzi czyny wielkich serc i duchów, którym może przyszłość błogosławić będzie. Ileż to faktów zapisała kronika porozbiorowa narodu polskiego, które litera prawa państwowego potępi, a które są płomieniem, co świeci i grzeje, — świętością spętanej ojczyzny?!

Ileż to ojców i braci naszych ginęło w więzieniach i na szubienicach za naruszenie prawnej ustawy, a mimo to czci ich Polska, czci ich wróg nawet jako męczenników i bohaterów. Dziś jednak zbliża się rząd niemiecki z kodeksem prawa nowego i mówi : „*Uniewinniać* tych ludzi, ktorzy rokosz podnieśli i opór władzy stawili, jest zbrodnią.“ I marną pociechą jest dla nas komentarz rządowy“, że naukowym badaniom a mianowicie rzeczowemu traktowaniu historycznych wydarzeń nic na przeszkodzie nie stanie“, bo jest to wprawdzie „glejt bezpieczeństwa“ dla objektywnego historyka, ale cóż się stanie z poetą, który w płomiennych słowach wielbić będzie rewolucyonistę, męczennika idei, obrońcę pogwałconych praw narodowych lub społecznych? Cóż się stanie z Schillerem, — potężnym piewcą wolności? A „Zbójcy“, a „Wilhelm Tell“? Cóż się stanie z Mickiewiczem i Słowackim? A Dziady, a Kordyan? Nie twierdzimy stanowczo, że dzieła te zwieje jak wicher nowa ustawa z pułek księgarskich, bo rząd lękać się będzie naruszyć narodowych świętości i stać się pośmiewiskiem Europy, ale nie ma najmniejszej wątpliwości, że litera i duch paragrafu stempel karygodności na utworach cytowanych wyciska i zrozumieć nie trudno, w jakim kierunku i przeciw jakim utworom zwróci broń swoją oskarzyciel państwowy. „Zbójców“ i „Dziadów“ tknąć się może nie odważy prokurator niemiecki, ale niewątpliwie ścigać będzie na mocy nowej ustawy podobne utwory, jeżeli staną się niewygodne dla *panującego* kierunku.

I jak przy paragrafie 130 tak i przy paragrafie 111a pamiętać o tem należy, że nie sama literatura i prasa, lecz szerokie koła społeczeństwa, mianowicie w niższych jego warstwach uczują ostrze niebezpiecznej ustawy. Są pewne „występki“, które cieszą się stale sympatyami publiczności, że wspomnimy tylko ową głośną sprawę w „Fuchsmühl“, gdzie „*sąd ludu*“ uniewinnił gromadę chłopów, potępionych literą prawa za opór przeciw władzy i zbrodnią „*Landfriedensbruch*“. Przypominamy dalej czasy walki kulturnej, gdzie zdarzały się często kolizye między ludem a żandarmami, ścigającymi kapłanów. Prawo zamykało w murach więziennych tych biednych ludzi, którzy po swojemu.... pięścią bronili duchowieństwa przed władzą, — lecz któż z katolików gorętszych, któż z Polaków ich nie uniewinniał? Ileż to razy wieśniacy w karczmie, rzemieślnicy w piwiarniach z słowem miłości na ustach mówili głośno o „polskich męczennikach“? Wonczas to zbrodnią nie było, — dziś staje się występkiem, któremu grozi trzyletnie więzienie.

Wyjaśniliśmy na dwóch typowych przykładach niebezpieczeństwo projektowanej ustawy, a niebezpieczeństwo to w mniejszym lub większym stopniu wieje z każdego paragrafu nowego prawa. Nie mamy zamiaru rozwodzić się dłużej nad poszczególnemi ogniwami tych kajdan, które rząd pragnie społeczeństwu nałożyć, bo musielibyśmy w znacznej części powtórzyć zarzuty, uzasadnione powyżej; to też wskazujemy tylko ogólnikowo na §§ 129, a znany pod nazwą „Complotparagraph“, § 131 i obostrzenie ustawy prasowej, a mianowicie na § 112, na mocy którego karze więziennej (*maximum*: 3 lata) podlega ten, kto „stara się (*der es unternimmt*) żołnierza aktywnego wojska lub aktywnej marynarki skłonić do udziału w dążeniach, zmierzających do przewrotu istniejącego porządku politycznego“. W elastycznej formie tego paragrafu tkwi poważne niebezpieczeństwo. Najlżejsza *próba* spowodowania żołnierza do udziału w przewrotowych dążeniach podlegać ma karze więziennej, a czegóż za „próbę“ nie uzna polityczny subjektywizm, polityczna jednostronność i fanatyzm sędziów. Proste wygłoszenie radykalnych teoryi w obecności żołnierza stać się może materyałem, z którego pokuratorya akt oskarzenia wysnuje. Giętkie określenie: „*der es unternimmt*“, — jest tendencyjnie zastosowane, aby ten paragraf na wskroś subjektywnie aplikować można. Gdy żołnierz na urlopie zapuka do drzwi rodziny, przywykłej do swobodnego głoszenia śmiałych opinii, stanie może przed kratkami ojciec jako uwodziciel syna-żołnierza, brat jako uwodziciel brata-żołnierza. A w chwili tak zwanych „kontrol“ (Kontrolversammlungen) gdzie każdy udział biorący obywatel stoi przez 24 godzin pod prawem wojennem jako *członek aktywnego wojska*, lubo munduru nie nosi — w takich okolicznościach prokurator obfite żniwo zwiezie na ławę oskarżonych. Przy okazyach owych kontrol wojskowych kwitnie życie towarzyskie po gościńcach i kawiarniach, a gdy alkohol uderzy do głowy, wtedy dyskusya polityczna staje się nieraz szeroką i śmiałą. Tu właśnie ujawnia się jaskrawo niebezpieczeństwo nowej ustawy, bo za kilka zuchwalszych poglądów wypowiedzianych w obecności człowieka, który prawnie przez 24 godzin należy do aktywnego wojska, choć nosi ubiór cywilny, paść można ofiarą paragrafu 112.

I ten trzeci przykład naszkicowany w ogólnych zarysach, świadczy wyraźnie, w jak ciasne obręcze rząd niemiecki społeczeństwo całe ująć zamierza. Epoka policyjnego teroryzmu i szykan niemiłosiernych stanęła u progu i puka natarczywie do drzwi naszych, a jeżeli „ustawę przewrotową“ wpuścimy do kraju, usłyszymy u bram coraz głośniejsze pukania nowych zakusów reakcyjnych. To dopiero awangarda wielkiej armii wsteczników, — za nią idą działa cięższego kalibru i gwardye obskurantyzmu. Z tego stanowiska jesteśmy przeciwni wszelkiej *kompromisowej* lub *połowicznej* kontrakcyi i żądamy od posłów naszych, aby przeciw projektom rządowym stanęli w opozycyi *bezwzględnej, stanowczej i wszechstronnej. Allegro impetuoso*, — oto tempo, w którym bój na całej linii odbywać się winien, bo ta nowa ustawa jest zwiastunem mroku gęstego, który nam jako ludziom wykarmionym duchem konstytucyi i jako Polakom zgotuje jutro posępne. *Principus obsta!*

JAROGNIEW.

Chora miłość.

Wszystko byłoby dobrze, gdybym tylko mógł pracować. Licho jakieś zagryzzło mi się w serce, w pamięć, że nie mogę o niczem innem myśleć, ani mówić, — a co najgorsze, co mnie do wściekłości, do szału przyprowadza, ani pędzla weź do ręki!

Gdy wszelką siłą skupię pamięć i myśl koło jednego przedmiotu, na jakie pół godziny niby dobrze, — ale niech spojrzę tylko po za siebie i zobaczę naprzykład promień słońca, wkradający się przez okno do pokoju, zaraz przypomina mi się to samo słońce, które wpadało „wtedy“ przez okno, — przypomina mi się włosów jej kolor, widzę jej oczy przed sobą, — i zwolna znowu jestem przy niej całem sercem, całą duszą!

Bodaj to wszyscy djabli wzięli!

Ale cóż tu pomoże szamotanie się? słodkie, lube więzy wspomnienia omotają mnie wkrótce tak, — że jak doprawdy spętany rzucam się na otomankę, i pomimo całej swojej szorstkiej, brutalnej, nieociosanej natury myślę, marzę, a lustro naprzeciwko odbija łeb mój rozczochrany i brodę czarną, potarganą, że wyglądam w niem tak komicznie, jakby mnie jutro do czubków oddać miano.

To nic — otaczam się kłębami niebieskiego dymu z papierosa, — i nie pragnę nic widzieć; napróżno obrazy na sztalugach wkoło patrzą na mnie miłosiernem okiem. Nie chcę widzieć was, nie chcę wiedzieć o niczem. Bodaj to wszyscy djabli wzięli!

O Ido, moja Ido! Splatam ręce nad głową i przeciągam się rozkosznie, a gdy szeptem imię jej wymówię, widzę ją, jaką była tam, w sali przed moim obrazem, jaką gdy śpiewała, gdy tuliła się do mnie, do tych samych moich piersi, które teraz rozpiera popęd niezaspokojony, — o Ido, moja Ido!

No i cóż? Wymówiłem jej imię i zmieniło się choć troszkę otoczenie moje? Tak samo te obrazy stoją przedemną, tak samo jestem sam, jak przedtem. A gdybym dawniej, choć z ośm .. tak właśnie ośm tygodni wstecz, wyszeptał był jej imię... Boże, jednak ja byłem bardzo, bardzo szczęśliwym!

Czyż ja się domyślałem, jakie to było szczęście, dopóki byłem w niem? Wiedziałem tylko, że dzieje się ze mną coś potężnego — czułem, jak czar jakiś pochwycił mi duszę i niósł ją gdzieś, — że mi aż straszno było naprzemian i rozkosznie. A panował ten czar nademną od pierwszego spojrzenia, zamienionego z nią. Złota moja, kochana moja, najdroższa, jak ja każdy szczegół naszego poznania dokładnie pamiętam — każde uczucie, przebyte w godzinach spędzonych z nią!

Gdy się tak otoczę dymem z papierosa i wszystko wokoło widzę tylko, jak przez mgłę, wtedy pamięć moja działa gorączkowo i doprowadza mnie nieraz do takiego złudzenia, że mniemam się jeszcze w przeszłości, — że wyczekuję, rychło ona kotarę we drzwiach uniesie i stanie przedemną żywa, złota. Biegnę nieraz, odchylam portyery i zaglądam do drugiego pokoju, tak mi się zdaje, że jest jeszcze zemną. Ale jej nie ma tam...

Zasłaniam oczy ręką, bo mnie razi widok wszystkiego; te obrazy — to wszystko wkoło, mnie przeszkadza mi w myśleniu o niej i sprawia mi ból.

Pamiętam, właśnie trzy miesiące temu — było to piętnastego maja — oddałem swoję „Myśl“ i „portret własny“ na wystawę.

„Myśl“ — dziś jużbym tego nie umiał malować; — wtedy byłem wpatrzony w jakiś potężny, szeroki horyzont duszy, świat byłbym mógł ująć w ramiona, nie aby go przycisnąć do piersi, tylko by uczuć swoją moc i w tryumfie wyrwać go z posad. Dziś jużbym nie umiał tak myśleć, — tak roztopić się całą istotą w myśli jednej, że się zapomni o sobie, — nie, tego nie umiałbym już dzisiaj.

Prawie mi tęskno było, gdy skończyłem pracę nad „Myślą“, a gdy oddałem obraz, ileż

POLITYKA.

Dokąd idziemy?

III.

Że „Dziennik Poznański“ był niegdyś pismem „umiarkowanie liberalnem“ zaprzeczyć się nie da, ale z biegiem czasu — a zwrot nastąpił, jak w ogóle cały przełom w naszem społeczeństwie, razem z epoką walki kulturnej, — umiarkowanie „Dziennika“ rosło, a liberalizm niepomiarkowanie się obniżał. I pewnego pięknego poranku obudził się stary „Dziennik Poznański“ w nowej szacie — jako ultramontanin czystej wody.

Jest to w ogóle organ, mający dziwne poczucie zmian w kierunku polityczno-społecznych wiatrów i iście Proteuszową zdolność przedzierzgania się w szaty odpowiednie do wiejących z góry prądów. — Przez cały czas walki kulturnej i następującą po niej epokę hegemonji kleru był Dziennik wzorem prawego ultramontanina. Od „Kuryera Poznańskiego“ różnił się przeważnie nagłówkiem — a różnicy zasad brakło do tego stopnia, że poruszano poważnie myśl zlania tych dwóch pism w jedno. I oto po długich latach, kiedy „partya dworska“, kwiat polityczny klerykalnych rządów, okryła się śmiesznością, kiedy ruch ludowy coraz szersze zaczął ogarniać koła i coraz niedwuznaczniej stawać frontem przeciw tej polityce, kiedy szerokie koła inteligencyi stanęły po stronie ludu — przypomniał sobie Dziennik Poznański dawno minione czasy — i stał się raz jeszcze pismem umiarkowanie-liberalnem.

Z naszej strony życzymy Dziennikowi szczerze, aby ta nowa przemiana, nie obojętna dla pisma w tak poważnym wieku, odbyła się bez szwanku. Ponieważ jednak zachodzi obawa, że Dziennik Poznański w owej dość długiej epoce, w której hołdował innym bogom, miał czas odzwyczaić się od warunków i obowiązków liberalnego organu, pozwolimy sobie zrobić jedną uwagę: Czołobitność oddana owej próbie fałszowania dziejów swoich i obcych, jaką hr. St. Tarnowski pod tytułem: „*Nasze dzieje w ostatnich stu latach*“ dla ludu polskiego przeznaczył, nie licuje z obowiązkami liberalnego organu. Takie wyrażenia jak: „Hr. Tarnowski *zstąpił* do nas“, może Dziennik śmiało Kuryerowi pozostawić. Niedostępnych wyżyn w stanowisku hr. Tarnowskiego — duchowem dopatrzeć się nie możemy; „umiarkowanie liberalny“ Dziennik Poznański i konserwatywno-stańczykowski hr. Tarnowski — stoją na jednym poziomie. Przypuszczamy, że było to tylko małe potknięcie, jakie każdemu pismu, stawiającemu na nieznanym gruncie pierwsze kroki przydarzyć się może, i że Dziennik Poznański z czasem odzyska swą minioną werwę liberalną. A wtedy będzie wszystko, jak dawniej, jedno tylko nie ulega wątpliwości: pismo, które dla interesu odkłada przekonania „do lepszych czasów“ może prosperować bardzo dobrze przy najróżniejszych prądach wiejących z góry — ale nie zdobędzie się nigdy na wytknięcie drogi społeczeństwu. A jednak dzisiaj, kiedy najróżniejsze kierunki ścierają się z sobą i o jakiejś na wspólnem porozumieniu opartej akcyi nikt słuchać nie chce, należałoby się spodziewać po najpoważniejszym z naszych poważnych organów postawienia jakiegoś programu wytycznego, do którego, choćby tylko przeważna większość społeczeństwa rękę przyłożyćby mogła. Ale Dziennik Poznański, płynący szerokiem, wygodnem i płaskiem politycznem korytem, zdobywa się co najwięcej na ojcowskie napomnienia, wzywające do — „solidarności.“ Jest to w ogóle ostatni atut naszych „poważnych“ organów, zakrywający znakomicie wewnętrzną pustkę. Przecież nie „solidarność“ jest największą zaletą i pierwszym obowiązkiem społeczeństwa — bo i cóż zyskamy na tem, jeżeli potokami wymowy i gromami publicystycznemi zdusimy żywioły opozycyi — a potem „solidarne“ społeczeństwo sprowadzimy na manowce?

Nikt nie przeczy, że w naszych warunkach solidarne wystąpienie społeczeństwa może nas w wielu razach od klęski zachować, a niezgoda o straty przyprawić. Ale wzywający do solidarności powinni wiedzieć, kiedy to czynić należy. Są osobistości u nas forytowane konsekwentnie, są sprawy wysuwane przez pewne koterye, działające jak ferment rozkładowy na społeczeństwo. I o tem powinni wiedzieć nasi politycy. Ale im zdaje się, że żyją ciągle jeszcze w owej epoce, kiedy ziemiaństwo, idące ręka w rękę z duchowieństwem, stanowiło jedyną politycznie dojrzałą i na mocy tego rządzącą warstwę społeczną. Wówczas zrywanie „solidarności“ byłoby, jeżeli nie zdradą, to w każdym razie porywaniem się z motyką na słońce. Ale dzisiaj rzeczy się zmieniły, a nasi politycy powinni cieszyć się z tego, zamiast rozrywać szaty swoje.

I Dziennik Poznański, odkąd wstąpił w ultramontańskie tory Kuryera, aby dać z nim razem w rozgłośną trąbę solidarności, zapomniał, że jak w przyrodzie walka o byt jest podstawą życia, tak *walka stronnictw* jest koniecznym objawem żywotności społeczeństwa; że dobro publiczne jest właśnie owocem ścierania się stronnictw walczących o władzę; że społeczeństwo nie zdolne do wytworzenia stronnictw, skazane jest na zagładę. Zapomniał o tem wszystkiem Dziennik Poznański i stoi na straży swej godności. Godność zaś „poważnego“ organu polega na tem, aby nie narażać się nikomu i we wszystkich, choćby najbardziej palących kwestyach, zajmować stanowisko niezdecydowane i połowiczne. Kiedy zagadnienia czasu, bijąc splątanemi węzły do bram dziennikowych, domagają się rozwiązania — Dziennik płącze węzeł jeszcze dokładniej i końce wsadza do wody!

Szkoda, że Dziennik Poznański narodził się na świat o kilka tysięcy lat za późno: na trójnogu olympijskim dawałby on odpowiedzi zdolne zawstydzić starożytną Pytję!

Kto przyzwyczaił się brać objawy społeczne nie jako oderwane fakta, ale jako wyniki głębiej sięgających przyczyn — ten przyzna, że to obniżenie się wartości naszej poważnej (t. j. decydującej o naszych sprawach) prasy jest rysem wysoko znamiennym i świadczącym wymownie, że owa dekadencya, o której wyżej wspomniałem, nie jest illuzyą. Prasa bowiem, będąca z natury swojej odbiciem wszelkich prądów nurtujących społeczeństwo, stanowi zarazem bardzo pouczającą miarę jego sił. — Ale znamiona dekadencyi pojawiają się i na innych polach. Byłoby zbyt skrajnym pesymizmem twierdzić, że cofamy się na wszystkich punktach. I my zapisujemy z radością, jako cenny dorobek narodowy, podnoszenie się oświaty i wzrastającą świadomość obywatelską wśród szerokich mas ludu; nie przeczymy, że jeżeli posiadłość ziemska, podstawa naszej narodowej egzystencyi, kurczy się boleśnie, jest tendencya w społeczeństwie zapełnić dorobkiem ekonomicznym na innych polach powstające szczerby; uznajemy działalność naszych towarzystw, o ile pozytywne wyniki ogółowi przynoszą i dostarczają społeczeństwu rokrocznie nowych zastępów intelligencyi i ludzi fachowych. Ale kto, opierając się na tych danych, twierdzi, że my istotnie idziemy naprzód, oszukuje samego siebie. Większość tych prac społecznych i instytucyi, to zabytek lepszej przeszłości, działający jeszcze wpośród nas siłą bezwładności. Chcąc o teraźniejszym stanie społeczeństwa i o kierunku jego sądzić, trzeba brać pod uwagę *to, co obecnie pośród nas powstaje* — a to nie daje powodów do optymistycznych złudzeń. Przywiedźmy sobie na pamięć wszystkie owe projekta, rozpoczęte dzieła i szerokie zamiary, które drzemią w połowie drogi, dla braku funduszów i poparcia — i powiedzmy sobie, że mamy jeszcze energią na stawianie nowych pomysłów, ale braknie nam

---

razy biegałem do sali, aby rzucić na niego okiem.

Wtedy raz, może o godzinie czwartej po obiedzie, wchodzę do sali, wkoło na sztalugach i podle ścian obrazy, zresztą pusto w niej — tylko na kanapie okrągłej, ponsowej, w środku pokoju, jedyna jedna kobieta, odwrócona odemnie, a wpatrzona w moją „Myśl“.

Siedziała z głową opartą na ręku, patrzała, jakby śniąc. Przystanąłem — nie chciałem przerywać jej — może w tej chwili właśnie wżyła się w ideę mojego obrazu, może ją ona tak samo unosi, jak moję duszę. Nie wiem, chciałbym jednak, aby każdy zrozumiał mnie, jeżli nie objął pojęciem, to przynajmniej przeczuł wielkość tej „Myśli“.

Siadłem za nią na kozetce niskiej, Suknia ciemno-czerwona, mieniąca się w każdem zagięciu, jakby tęczowemi kolorami, opinała wiotką jej i wysoką postać. Wstążka w pasie przytrzymywała prawie od niechcenia fałdy dość luźnego stanika. Ręka jej zasłaniała twarz, widziałem tylko włosy na boku głowy. Wszystkie ujęte greckim węzłem, takie sprawiały wrażenie, jakby każdy włos co kawałek łamał się w zagięciu, a na zagięciu tem błyszczała iskra rzucona czarodziejską jakąś ręką.

Ileż razy kusiłem się, aby ten kolor włosów jej podchwycić i odmalować, — tam przedemną stoi jeszcze płotno, które miało portret jej przedstawiać. Ale czyż ja mogę... Ten połysk subtelny jest czemś tak niepochwytnem, jak ona cała.

Pamiętam, że siedziała jeszcze bardzo długo bez ruchu, jakby zapomniawszy o świecie, — nie słyszała pewnie ani mojego wejścia przedtem. W końcu wstała, wciąż jeszcze odwrócona odemnie, i ja wstałem z kozetki; nagle gdy zwróciła się ku mnie, drgnęła i jakiś błysk przeleciał po jej twarzy, coś podobnego do zdziwienia; poznała mnie chyba z portretu. Tymczasem — pamiętam — gdy obróciła się tak, że promienie słońca padły na jej twarz, aż mi dech zaparło — nic nie widziałem, ani ust, ani czoła — tylko oczy. — te oczy stały przedemną cudne, nieodgadnione, jak zwierciadlana tajemnica.

Gdybym kiedy oczy te mógł zrozumieć; niby czarne, a tyle blasków bije z nich, że powstaje przed niemi, jakby siatka promieni; chyba oczu samych nie zobaczę nigdy, ani w głąb ich nie zajrzę, po za tem światłem promieniejącem z nich. Może chochlik jaki przed niemi lata i przyświeca pochodnią jasną — może... albożja wiem.

Jakże tu malarzem być i nie oszaleć, patrząc w takie oczy! Przecież tam w nich wyraźnie się coś pali, a przytem spojrzeniem każdem proszą się o farby, błagają, aby je malować, — i urągają zarazem sztuce wszelkiej, bo gdzież ten djabeł, który z tych kilku farb na palecie skleci blaski te wszystkie cudowne! Zapomniałem o świecie w pierwszej chwili, zgłupiałem poprostu, i tak mi było, jakbym zobaczył skarb wielki i bał się, że mi go wezmą, i drżał, czy mnie oko nie zawiedzie, a pamięć nie zapomni tego, co oko widziało.

Gdy sobie tę scenę przypomnę, aż mnie wstyd, musiałem strasznie głupio wyglądać w tym artytystycznym zachwycie.

Ocknąwszy się z chwilowego osłupienia, uznałem, że położenie nasze arcygłupie. Staliśmy oboje, ja wpatrzony w nią, ona z taką miną, jakby mnie znała od stu lat, a tu wkoło nas nikogo, żadnej żywej duszy, — wszystko jak najfatalniej. Trzeba było coś zrobić, — nie podobno tak odchodzić bez wszystkiego. Więc zbliżyłem się do niej i wskazując na obraz, rzekłem z bijącem sercem i jak zwykle, kiedy się chcę wysadzić, z niezgrabnym, wiem na pewno, ukłonem:

— Cóż pani w nim znalazła? Pani długo wpatrywała się w niego.

Odparła, przecząc żywo ruchem głowy:

— Wpatrywałam się w duszę twórcy. — (Gdy mówiła, ożywiły się źrenice jej żywym blaskiem, że aż oczy przymrużyć musiałem.

— Znalazłam w nim własnych uczuć odłam niewyraźnych dotąd i nierozwikłanych, — wielką potężną myśl, przed którą straszno i rozkosznie zarazem.

Jaka ona piękna — jaka piękna!

— Dziękuję, że pani mnie odgadła; pani

jej, aby rozpoczęte dzieła w życie wprowadzić. Jest to trwonienie sił na wielką skalę. W ogóle chwytamy dzisiaj tem łatwiej jakąś ideę, im jest pospolitszą — zdrowe i postępowe idee, z których głębsza myśl przeziera, przebrzmiewają bez echa. — Wiec katolicki — oto hasło zdolne poruszyć nasze społeczeństwo! Czy przypominacie sobie setki niedorzeczności, wypowiedzianych tam z ogromną emfazą? Każdy tam był — każdy przynajmniej wstąpił na chwilę, aby go oko „najwyższych“ dostrzegło. Czy pamiętacie występ naszych matadorów politycznych na deskach teatralnych przed Heleną Modrzejewską?

Stała — uginając się pod ciężarem wieńców poznańskich, dumna pracą około sławy imienia polskiego, której służy od długich szeregów lat — zawsze jeszcze piękna.... a przed nią stał „królik wielkopolski“ i mówił jej o — obowiązkach! — Stała — jak pionierka ducha postępu, którego płody w ciało przyobleka i bogatemi dary ze swych uczuć skarbnicy zbogaca i porywającą siłą na wyżyny wynosi — z pobłażliwym uśmiechem na ustach, kiedy inny mąż „ładu i porządku“ losy swego społeczeństwa i cały ciężar błędów obecnej wewnętrznej polityki u stóp jej składał, błagając w namaszczonej przemowie, by i ona (nie śmiejcie się panowie) by i ona część tego nieponętnego balastu na swoje barki wzięła. Ach! cóż wam uczyniła Helena Modrzejewska szanowni twórcy, wielbiciele i podpory dzisiejszego kierunku politycznego?! I jakie małe i marne być musi wszystko, czem rozporządzacie, jeżeli z lekkiem sercem, wszystko, nawet waszą politykę składacie u stóp — artystki dramatycznej!

St.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

W *„Gazecie Toruńskiej“* (Nr. 68) czytamy:

„Skłoniło nas do tego wystąpienia ciekawe wyznanie sławetnej „Neue Westpr. Ztg. — Pr. Stargarder Ztg. u. Anzeiger.“ Pisze ona w numerze 64. z dn. 20 bm. dosłownie, co następuje:

„Już samo istnienie towarzystwa, którego głównym, chociaż nie wyraźnym celem z pewnością jest, służenie za łącznik między polskimi katolikami i wychowywać świadomą polskość, zdolne (geeignet) rozdmuchiwać zarzewie niezgody. Dla czego Polacy nie przyłączą się do niemieckich towarzystw, dla czego tworzą własne, odrębne towarzystwa, w których (O zgrozo! Red.) chcą być między sobą?“

Panie redaktorze! Każ pan sobie dać kilkadziesiąt batów za karę, że wyśpiewałeś to, co wszyscy polakożercy myślą, ale zbyt są oględni, żeby to jawnie wyznać. Wy nie tęsknicie za Polakami. Was razi samo istnienie choćby najniewinniejszych, najspokojniejszych towarzystw katolicko-polskich, was drażni i gniewa, że Polacy i katolicy wogóle żyją, ruszają się, pracują na chleb i wcale nie mają ochoty wymierać. Wybyście nas wytruć gotowi, jak szczury, a ponieważ wam wstyd przed światem, więc staracie się ustawodawstwo to tak nakręcić, żeby nas stopniowo zamieniało na żebraków, a z czasem zupełnie wygłodziło.“

„Orędownik“ tak pisze w artykule p. t. „Po szlachcie chłop polski“ (Nr. 69):

„Co jest polityka narodowa? Jeżeli to jest utrzymanie i zabezpieczenie bytu narodowego w granicach państwa pruskiego, to punkt ciężkości tej polityki, winien się znajdować w kraju, w narodzie, w ludzie, a nie w Berlinie, nie w Kołach poselskich. To jeszcze nie ogranicza w niczem kompetencyi Kół poselskich w Berlinie, ale kładzie rygiel temu, żeby posłowie z Berlina samowładnie i samowolnie, nieraz z zupełnem lekceważeniem faktycznych stosunków ludności, nie narzucali nam polityki jałowej lub wprost przewrotnej.

Możnaby o tem obszernie pisać. Powołamy się tylko na dwa fakta, jak fatalnie nasze Koła polskie — którym zresztą zkądinąd nie odmawiamy wielkich zasług około narodu, oddziaływają na to, co się nazywać powinno polityką narodową.

W roku 1886 przy debatach nad ustawami antipolskiemi Koło wydało znane hasło: usque ad finem!

Prosimy rozważyć — czy można było większe polityczne głupstwo popełnić i więcej szlachtę z trybuny sejmowej skompromitować i więcej systemowi pruskiemu dodać ducha do atakowania żywiołu polskiego? A jednak opinia publiczna to głupstwo polityczne wieńczyła, dekorowała i wszystkie usta je powtarzały, dopóki nam srebrniki kolonizacyi ust nie zamknęły.

W pięć lat potem pan Józef Kościelski zarzuca z Berlina całe społeczeństwo różanemi obietnicami. Posłowie klną się, że przyjdą ulgi: wołają: Wielkanoc! Wielkanoc! — i wszystko szaleje, wyczekując za Wielkanocą.

To są dwie karty w dziejach naszych, których nikt nie zamaże i nie wydrze. To są dwa straszne błędy; pierwszy zawiódł szlachtę, drugi lud polski, a te dwa straszne błędy zawdzięczamy Kołom poselskim dla tego, że w nich spoczywa dotąd punkt ciężkości naszej polityki norodowej, a nie w narodzie. Dla tego, że nasza polityka narodowa robi się nie w kraju przez naród sam, ale w Berlinie przez posłów.“

W artykule p. t. „Naród bez mózgu“ tak się rozwodzi *„Orędownik“* (Nr. 68):

„Cośmy powiedzieli przed kilkoma tygodniami, że teraz nikt nie będzie się chciał przyznać do polityki partyi dworskiej a niezadługo najzagorzalsi jej zwolennicy zaczną ludziom dowodzić, że zawsze tę politykę potępiali, to się już dziś dzieje. Tak tu w Poznaniu, jak na prowincyi odzywają się z kół jeszcze wczorajszych zagorzalców polityki partyi dworskiej głosy pełne zdumienia i oburzenia: jak to można było się łudzić, aby Berlin coś dla Polaków uczynił, aby odwieczny system pruski miał zmienić!

Jestto może najbardziej zastraszający objaw, bo mimowoli ciśnie się myśl do głowy, czy Rosyanie i Niemcy nie mają racyi, gdy o nas mówią i piszą: że sami o sobie myśleć nie potrafimy, ale jesteśmy „narodem bez mózgu“!

Rzadko kiedy w naszych dziejach porozbiorowych tak szybko wysuwały się jedne stosunki po drugich; rzadko kiedy nasze stosunki publiczne tak się przejrzyście układały, żeby się nasze spełeczeństwo pod berłem pruskiem dało schwycić, że użyjemy wyrażenia, tak na gorącym uczynku swej własnej bezmyślności nieudolności politycznej, jak obecnie.“

. . . .

„Po zbankrutowaniu wszystkich teoryi politycznych odzywają się znowu głosy: „że tylko zgoda i solidarność“ nas zbawić może; niektórzy dodają „prawdziwa solidarność“. Jeżeliby ta „zgoda i solidarność“ miały służyć tylko do rehabilitowania partyi dworskiej, do podtrzymania tradycyjnej szlacheckiej polityki; jeżeli ma służyć na to, żebyśmy wiecznie byli „narodem bez mózgu“, „papugą innych narodów“, to sto razy lepiej dla społeczeństwa polskiego pod rządem pruskiem, że takiej solidarności nie będzie.

Stosunki polityczne gwałtem wypychają naprzód warstwy średnie i lud, żeby same o sobie i za siebie myślały. Niech też w tych kołach myślą wszyscy, jak sobie radzić, by nie wpaść w błędy i w sieci starej polityki szlacheckiej, a rzetelnie pojmować i rzetelnie wykonywać służbę narodową.“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Przeciwko wynarodowianiu ludności słowiańskiej przez kościół na rzecz Włochów występują nietylko pisma słowińskie, ale i duchowieństwo patryotyczne. Oto, co pisze ks. kanonik dr. Volarić w dzienniku *„Slovenec:“*

„Jest prawdą, że większość ludności dyecezyi w Parenzo jest słowiańską, wyłącznie słowiańską jak ludność wiejska. Mimo to w duchownem konwencie dyecezalnym znajduje się pomiędzy 57 alumnatami tylko 5 Słowian. Nie czujemy się powołanymi do krytykowania rządów biskupich, ale i mimowolnie budzi się w nas myśl, że tendencye ich są wrogie naszej narodowości. Jest rzeczą znaną, że wszyscy reprezentanci ludności wiejskiej tak w sejmie, jak w gminach należa do partyi liberalnej, gdy posłowie słowiańscy zawsze w obronie religii występują. Duchowieństwo pracujące nad wynarodowieniem ludu słowiańskiego pracuje dla idei liberalizmu. W interesie kościoła należałoby dbać o utrzymanie ludu słowiańskiego przy narodowości swojej; jeżeli tego nie czynią duchowni włoscy, to postępowanie ich zasługuje na napiętnowanie, bo ich działalność wrogą jest intencyom kościoła:

Skutek protegowania przez rządy biskupie Włochów okazuje się i w tem zgubnym, że coraz większy brak pasterzy duchownych. Gdy miasta wybrzeżne włoskie posiadają ilość dostateczną duchownych, parafje wiejskie opustoszały i niejednokrotnie ksiądz opiekować się musi kilkoma parafiami równocześnie.

Smutnym objawem są też napaści czynne i zniewagi duchownych, których się dopuszcza ludność włoska na duchownych słowiańskich, a zachodzą fakta, że właściwymi sprawcami są

---

wie, co to za rozkosz, być pojętym przez kogoś.

— Prawda, rozkosz — wielka rozkosz, upajać musi i porywać, tylko, że jej tak rzadko doznać można prawdziwie.

Podniosła przytem oczy i spojrzała w przestrzeń przed siebie wzrokiem tak rozpalonym i pełnym pragnień niewytłomaczonych, że we mnie zamiar dojrzał wyraźny: za wszystkie skarby tego świata muszę ją poznać. Widzieć te oczy jej czarowne przez życie całe, niczego więcej bom nie pragnął. Rzekłem więc:

— Jeźli pani tęskni za tą rozkoszą, — otwórz pani przedemną duszę, ja cię zrozumiem, tak jak ty mnie pojęłaś.

Patrzała na mnie bystro a przytem tak, jakby dla niej to szczęście wyspowiadania się przed kimś z tych myśli, których ludzie nie pojmą, było ideałem jedynym i marzeniem.

— Wierzę, pan by mnie zrozumiał — szepła.

— Więc czekam na spowiedź.

— Nie umiem się spowiadać ani słowem, ani pędzlem, jak pan, — odparła po raz pierwszy z uśmiechem.

— Tylko?

— Muzyką...

Więc artystka — wiedziałem odrazu; taki płomień może się tylko palić w oczach, w których przegląda się dusza, jak słońce bogata. I poszliśmy razem wtedy, mnie w piersi serce kołatało, jak pijane z radości, że będę patrzał w te oczy długo, długo — ona, jakby zamyślona, jakby zapatrzona we własną duszę, — jak natchniona.

Rozumiałem ten stan jej; ile razy sam go przechodziłem. Wtedy myśl tak krąży koło jednego przedmiotu, tak szuka barwy najlepszej, w którejby dusza przebiła się cała, że świat znika z przed oczu i wszystko.

Szedłem więc obok niej, nie mówiąc słowa. Gdy sobie teraz przypomnę, gryzłbym się ze złości, tyle chwil spędzonych przy niej, straciłem naprożno, a teraz pół życia dałbym za taką jednę chwilę. Mówiłbym do niej, ciągle mówił — wiem, że długoby trwało, nim wypowiedziałbym wszystko.

Przeszliśmy jednę ulicę i drugą, weszła w końcu do kamienicy jednej, do hotelu, na pierwsze piętro i po chwili znalazłem się w saloniku jej. Jak ja znam ten dom teraz, te schody i sienie. O, te wspomnienia życie mi chyba zatrują, albo rozum pomieszają.

Gdybym jeszcze raz mógł być w tym saloniku jej, — firanki ciemne zasłaniają okna, portyery ciężkie spadają fantastycznie na podłogę, zasłaniając drzwi. Otomanka miękka pod jedną ścianą, a koło drugiej skrzydło olbrzymie otwarte. Tu u mnie w pracowni tyle makat, tyle sztalug, draperyi tyle najróżniejszych, a jednak u niej tak ciepło było, tak swojsko.

Pamiętam, gdy mnie przeprosiła i znikła w drugim pokoju za portyerą, żeby zrzucić kapelusz i zarzutkę, — rozglądałem się wszędzie, jakby zdziwiony, — cóż tam urok ten sprawia, chyba cud.

Po chwili weszła znowu i wskazawszy mi miejsce na otomanie, przystąpiła szybko, prawie gorączkowo do fortepianu, nie mówiąc ani słowa. W oczach jej paliło się jaśniej, niż przedtem, a koło ust igrał uśmiech prawie gorzko-bolesny, zdradzający wzruszenie wewnętrzne.

Siadła na taburecie i położyła palce na klawiszach, a widziałem, że ręce jej drżały, kiedy miała zacząć „spowiedź“.

Chwyciła kilka akordów wprawną ręką, — wtem nagle, jakby mnie piorun ogłuszył, — śpiewu jej tego nie zapomnę nigdy, nigdy. Z początku prawie ból mi sprawiała. Zdawało mi się, że piersi jej pęknąć muszą — ja tu w swoich miałem takie uczucie, jakby mi je kto rozsadzał, jakby pęknąć miały za chwilę. Nie wiedziałem, czy za piersi się schwycić, czy też biedz do niej i objąć ją ramieniem.. To niepodobna, żeby taka potęga głosu była ukrytą w piersi kobiety, to niepodobna.

Fala potężna tonów obejmowała wszystko, ściany, meble — i mnie porywać zaczęła, duszę mą unosząc w szalonym wirze gdzieś w nieskończone przestworza. Sprawy sobie zdać nie mogłem, co się zemną dzieje; ten śpiew myśleć mi nie pozwolił, a nim zastanowić się zdołałem, już nowe rzucone tony mieszały mi myśl i uno-

duchowni włoscy, którzy ludność przeciw swym konfratrom słowiańskim podburzają...“

* * *

Sygnalizowany w telegramach artykuł „*Narodnich Listów*“, w którym główny organ młodoczeski zapowiada zmianę dotychczasowej taktyki Mlodoczechów, brzmi w ustępie końcowym jak następuje:

„Naród czeski walczy z polityką niemiecką od lat tysiąca; nigdy atoli dla Niemców nie było u nas uprzedzenia lub złej woli. Stronnictwa czeskie uznawały w programach swych równouprawnienie obu narodowości. Zasadzie tej pozostały wierne bez względu na przeszłość, na stan obecny i *pokrewieństwo słowiańskie.*

Nie chcemy tego, aby sprawiedliwość mierzono inną miarką dla nas i inną dla Niemców. Z obecnego położenia jesteśmy nieządowoleni. bo dziś Niemców grzeją cieplejsze promienia — i ztąd też brak zaufania obopólnego.

Upadek stronnictwa staroczeskiego spowodowało sprzeniewierzenie się zasadzie równouprawnienia. Punktacye wiedeńskie zasadę tę naruszały, bo Staroczesi na mniejszy wymiar praw narodowych się godzili. Konserwatyści i liberałowie upadek ten w równej spowodowali mierze: pierwsi, że na naruszenie zasady przystali, drudzy, że się tego domagali.

Moment ten uwydatnił najwyraźniej, z jak podejrzanego wypływa źródła polityka wiedeńska w obec nas Czechów. Krępuje ona stale akcyę narodów nieniemieckich.

Ostatnie wypadki w parlamencie austryackim okazują to samo tło polityki wiedeńskiej, nam nieprzychylnej i nieżyczliwej. Kierunku dawnego polityka tu nie zmieni tak łatwo; kwestya stworzenia gimnazyum słowieńskiego w Cylei, choćby po myśli ludności słowiańskiej została załatwioną, nie daje jeszcze rękojmi, że znikło uprzedzenie dawne. Mimo to dziś uznajemy, że stronnictwa nasze powinny mieć na oku i *chwilowe polepszenie sytuacyi.* Polityka nie jest rzeczą serca, ale rozumu. Skoro jest jakikolwiek grunt do zdobycia, stronnictwa go zdobyć powinny, rzeczą narodu grunt zdobyty zamienić na podstawę do operacyi dalszych.

Nie wiemy jeszcze, jak sobie postąpią reprezentacye nasze wobec kwestyi, które dziś się wyłoniły. Sądzimy atoli, że należałoby korzystać z danej sposobności. *Stronnictwa polityczne nie mogą pozostawać w wiecznym celibacie. Żyją one, powstają i giną, wiecznym jest tylko naród.* Jeżeli ogół naszego społeczeństwa nie nauczy się tego, iż chwilowo zadowałniać się należy małemi zdobyczami, to nam długo jeszcze przyjdzie czekać na rezultaty ostateczne naszej akcyi politycznej...“

BADANIA NAUKOWE.

O ruchu etycznym.

Szkic historyczno-filozoficzny.

(Ciąg dalszy.)

Poza obrębem tego związku widzimy moralistów jeszcze wśród „Unitaryuszów“ i w „towarzystwach etycznych“. Unitaryusze tworzą na początku bieżącego stulecia, zarówno jak ich współwyznawcy w Anglii i Siedmiogrodzie odrębną sektę, rozwój ich wykazuje jednak znaczny wzrost moralizmu. Rev. J. F. Smith pisze o tem w „Encyklopedia Britanica“ co następuje: „Od roku 1815 do 1836 panują wśród Unitaryuszów poglądy biblijne, na wpół racyonalistyczne, a na wpół supranaturalistyczne, w których kiełkują już zarodki szlachetnych myśli etycznych Channinga. Od roku 1836 inauguruje krytyka pisma, transcedentalizm Carlyle'a i Emerson'a i absolutna religia Th. Parkera erę nowoczesną teologii, wprowadzając unitaryzm w zetknięcie się z nowoczesną filozofią i teologią. W roku 1865 widzimy w stanach wschodnich usiłowanie połączenia prawego i lewego skrzydła organizacyi unitarskiej przez ściślejsze sformowanie wyznania, lecz rezultatem tego jest, że w dwa lata pózniej F. E. Abboi zakłada „free religions association“, która sobie za cel stawia szerzyć — niezawiśle od wierzeń — miłość, uczciwość i prawdę. W jakiś czas później przebywają stany zachodnie podobną walkę, a w maju 1886 zwołana konferencya uchwala większością trzech czwartych części przyjęcie zasad czysto etycznych bez domieszki teologicznej“. Amerykański związek unitaryuszów liczył w roku 1825 około 125 gmin, w roku 1845 — 280 gmin, a w r. 1888 przeszło 370 gmin i około 203,000 członków dorosłych; głównym jego ogniskiem jest stan Massachusetts. Związek obejmuje aż siedem sekt (denominations), różniących się pod względem wierzeń zasadniczzch, co się tłomaczy wolnością każdej gminy w ustanowieniu swoich wierzeń. Organami związku są: „The unitarion review“ w Bostonie, „The christian register“ w Bostonie i „The unity“ w Chicago; ostatnia nosi godło: „freedom, character and fellowship in religion“. Nadto wychodzi też rocznik. „The yearbook for the Unitarian congregational churches“ w Bostonie.

Skłonność pewną do moralizmu okazują w północnej Ameryce także Uniwersaliści, postępowi Kwakrowie i zreformowane gminy żydowskie.*)

Towarzystwa etyczne w Ameryce odznaczają się najzupełniejszem poszanowaniem wierzeń u jednostek. Art. II. sec. 1, konstytucyi związku etycznego brzmi: „Ogólnym celem ruchu etycznego — jest podniesienie etycznego życia; związek wita tedy serdecznie tych wszystkich jako członków, którzy dążą do tego samego celu — bez względu na ich poglądy teologiczne lub filozoficzne.“ Z przywódców jednak nie wszyscy umieją tę neutralność zachować, jak się to okazuje z działalności Saltera n. p. lub Stantona Coit'a. Ostatni, przedtem drugi rzecznik etycznego towarzystwa w Nowym Jorku, powiada w swej pracy o „ostatecznym celu etycznego postępowania“ z roku 1886: „Wszyscy, którzy nad swojem postępowaniem rozmyślają, potwierdzą, że życie prowadzone w myśl przekonań etycznych daje zadowolenie wewnętrzne. Z uczucia tego wszystkie pisania pobożne wzięły treść i formę. Jest ono niby ową laską pielgrzyma, o której mówi biblia. Zdaje się ono być faktem zasadniczym doświadczenia religijnego.

.....Oznacza ono rodzaj szczęścia, przywiązanego do przeświadczenia, że się czyni dobrze; można je osiągnąć w każdej chwili życia i żadna moc odebrać go nie zdoła.“ Stanton Coit obiecuje wprawdzie każdej jednostce zupełną wolność sumienia, pragnąłby jednak wszędzie tam zastąpić wierzenia moralnością, gdzie one są podstawą społeczności ludzkiej. W roku 1889 zamieszcza w czasopiśmie „The ethical record“ (publ. by the society for ethical culture of Philadelphia) organie związku etycznego Ameryki północnej, artykuł o znaczeniu ruchu etycznego, w którym mówi: „Pierwszą naszą zasadą jest uznanie dobra za łącznik społeczności.... Nie życzymy sobie zniszczenia dawnych wierzeń, pragniemy je tylko w ten sposób ożywić, by odrzuciły wszystko prócz żywotnego pierwiastku społeczności ludzkiej, t. j. umiłowania dobra“. Bardziej toleranckim jest dr. Feliks Adler; założył on w r. 1876 pierwszą „so-

*) Goblet d'Alviella, l'évolution religieuse, Bruxelles 1884.

---

siły wciąż dalej i dalej w jakiemś djabelskiem tempie.

„Vivra, contende il giubilo“ śpiewała, jakby w tem łonie jej dawno zbierały sie uczucia więzione i naraz wybuchały burzą tonów, porywając za sobą serce i umysł i duszę gdzieś daleko, okropnie daleko, gdzieś w przepaść, czy w niebiosa, tumaniąc pieszczotą półdziką i namiętną, — kołysząc w uścisku rozkosznym, a strasznym, jak śmierć.

Chciałbym, żeby przestała, to znowu, aby śpiewała tak długo, długo ażbym zmysły stracił i już nie żył, tylko czuł tę pieszczotę tumaniącą. Boże, Boże, jeźliś na duszę moję, jak na lutnię struny napiął, wtedy chyba pół strun twych śpiew ten pozrywał. Jeźli to była spowiedź, to spowiedź jakiejś tytaniczej duszy.

Cały drżący, rozgorączkowany, roznamiętniony, siedziałem na otomance swej — już nie byłem zupełnie przytomnym, tylko jakiś upojony, porwany, przybity.

Gdy skończyła i podniosła się z taburetu, przystąpiła do mnie, jeszcze w rysach jej i w oczach było coś podobnego do tej pieśni, jakby tony te najprzód w piersi jej skonały, potem w twarzy, — potem w oczach dopiero gasły powoli. Spoglądała prawie dumnie i jakby z duszy ciężar jakiś zrzuciła, który ją przedtem przygniatał.

— I cóż, zna mnie pan teraz? — spytała, gdy pierś jej jeszcze oddech podnosił gwałtowny.

Chwyciłem jej ręce drobne, drżące jeszcze, i tonąc wzrokiem w jej spojrzeniu odparłem:

— Znam cię, znam na całe życie. Któż ty jesteś pani, ja korzę się przed tobą, umarłbym u twoich stóp.

Siadła obok mnie na kanapie, nie cofając ręki z mojej dłoni i podpierając głowę na wolnej ręce.

— Mówią mi Ida, — nazywaj mnie pan także tem imieniem — odparła.

Potem słuchałem słów jej, a ona mówiła długo, twarz jej się mieniła, i opowiadała gorączkowo, jakby wiele, wiele miała na duszy i to wszystko wypowiedzieć chciała, aby nic nie zostało.

Pamiętam, że, siedząc przy niej, pojąć nie mogłem, że to nie sen, nie marzenie. Ona taka potężna, od której niedawno oddzielał mnie pokój cały, która mnie porywała mocą duszy swej, teraz tak blizko mnie — wielka, święta, nietykalna, a przytem miłosierna, dobra, że do mnie zbliżyć się zechciała.

Byłem uklęknąć gotów, aby modlić się do niej.

Tak siedziała przy mnie, ot, jakby tu na tej otomance, a teraz nie słyszę jej głosu, nie ma jej ze mną. Ach, wyćbym mógł, jak pies czołgać się z bólu!

Mówiła wtedy do mnie tyle, a jednak jest w duszy mej komórka, w której każde słowo jej, jak żywe jeszcze, i pamiętam, jak dziś, gdy patrząc przed siebie pałającemi oczyma, mówiła:

— Panu dziwną musiałam się wydać dziś tam, na wystawie. Czasem tak na mnie przyjdzie, sama nie wiem, zkąd; nie dobrze mi wtedy w domu i pragnęłabym słyszeć huk morza i widzieć łamiące się u nóg mych bałwany; chciałabym zobaczyć coś takiego, coby mnie zdruzgotało, zmiażdżyło. Dziś pana obraz zdawał mi się odbiciem takich myśli moich, pojęłam, że panu tak samo czasem; tylko, że pan to oddać może farbami, a ja muszę mieć kogoś, któryby wysłuchał myśli mojej.

I tak mówiła jeszcze długo, a była w niej taka siła, że poddawałem się jej dobrowolnie. Może to była moc natchnienia, potęga jej śpiewu.

Wieczór zapadł i było już tak ciemno w pokoju, że nic widzieć nie było można, a ja siedziałem jeszcze ciągle przy niej, szczęśliwy — trzymając rękę jej w dłoni.

Pamiętam, gdy wyszedłem od niej z ciemnego pokoju w noc gwiaździstą, nie wiedziałem z początku, co się ze mną stało. Chwyciłem się za czoło rozpalone i wytężyłem pamięć: wiesz ty tylko dobrze, że to rzeczywistość? — Doprawdy rzeczywistość? Otaczała cię taka ciemność! Było mi, jakbym się ze snu obudził.

Gdy wszedłem do tej pracowni, nie widząc jeszcze zupełnie nic, rzuciłem się, pamiętam tak jak teraz, na otomankę i schwyciłem oburącz za głowę, wsłuchany w swoich myśli gmatwaninę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ciety for ethical culture“ w Nowym Jorku, na której czele pozostaje dotąd jeszcze.

W swej mowie o potrzebie nowego ruchu etycznego powiada:

„W końcu jest zadaniem tego ruchu zrodzić wiarę etyczną, optymizm moralny, wiarę, że wszechświat sprzyja uczciwemu postępowaniu, że w rzeczach istnieje kierunek ku dobru. Wiary takiej nam trzeba.... logicznie dowieść jej nie możemy... Czyń dobrze, a będziesz w dobro wierzył. Rzuć się w prąd dobrych sił w świecie, a odczujesz potężny ruch z praźródła idący“. Gdzieindziej*) znów mówi: „Założyciele towarzystw etycznych mniemają, że nowego światopoglądu nie można osiągnąć za pomocą nauk przyrodniczych, do mechanicznego pojmowania rzeczy prowadzących, a tylko przez doświadczenie etyczne... Nie zajmujemy bynajmniej wrogiego stanowiska wobec dawnych wierzeń, tolerujemy nietylko i cenimy przekonania religijne, lecz mamy nawet nadzieję, że na drodze kultury etycznej dojdziemy do nowego światopoglądu i do — wolno nam to powiedzieć — przekonań religijnych.“ W tym samym duchu działają S. B. Weston**) w Filadelfii i L. Sheldon w St. Louis.***) Związek towarzystw etycznych w Nowym Jorku, Filadelfii, Chicago****) i St. Louis liczy w. roku 1888 około 1200 członków; od tego czasu znacznie wzrasta i rozwija się przez zakładanie towarzystw filialnych, odpowiadających różnorodnym potrzebom życiowym, a umożliwiających dlatego najobszerniejsze zastosowanie zasad etycznych.

W *Anglii* ruch etyczny nosi nazwę *sekularyzmu*. Inicyatorem tego ruchu i jego nazwy jest londyński literat i księgarz G. J. Holyoake, którego „system etyczny“ w roku 1846 i latach następnych w sferach najmickich entuzyastycznem cieszy się przyjeciem. Tworzy się już wtedy kilka secular societies jako filie „national secular societies“ odznacza się bezwzględnem wypisaniem na sztandarze swoim wrogiego stanowiska wobec dotychczasowych wierzeń, a szczególniej walką przeciw teologii zwróconą. Przez długi czas national secular society jest jedynym etycznym związkiem w Anglii. Lecz w r. 1875 Karol Watts, poróżniwszy się z Bradlaugh'im występuje z redakcyi National Reformer'a i razem z G. J. Holyake'm zakłada odrębną „The british secular union“, której organem jest redagowana przez Watts'a „secular review“. „The british secular union“, wyznaje moralizm zupełnie zgodnie z national secular society, a różni się od niej tylko w środkach działalności. Bradlaugh i jego zwolennicy występują zaczepnie i gwałtownie przeciw starym instytucyom, kiedy Watts i Holysoke pragną powolnego ich obumarcia przez odebranie im soków żywotnych. To stanowisko wyczekujące jest rysem znamiennym moralizmu „agnostycznego“ british secular union. „Stanowiskiem związku wobec rozmaitych faz supranaturalizmu jest agnostycyzm“ — tak brzmi najgłówniejsza zasada nowego związku. Działalność obu związków jest nierówna. Związek dawniejszy obejmuje około 15000 członków w 53 stowarzyszeniach, z których 18 znajduje się w Londynie. Rzeczników związku jest 43, między nimi A. B. Moos, S. Standring, G. Standring, I. M. Robertson, W. Heaford, C. I. Hunc, Stanley Jones i t. d. Corocznie pojawia się sprawozdanie „The national secular society almanach“, dając pogląd na ruch w Anglii i w całym świecie, redagowane do roku 1891 przez Karola Bradlaugh'a i panią Annię Besanc, odtąd zaś przez Foote'go i Wheeler'a. Organami związku są wspomniany już National reformer i „The freethinker“. Przeciwnie związek młodszy chyli się do upadku. W roku 1884 Karol Watts widzi się zmuszonym wyemigrować do Kanady i dla tego kierownictwo secular review oddaje Saladinowi (W. St. Rossowi), który reprezentuje religijną odcień agnostycyzmu i secular review przemienia na „The agnostic journal“.

W roku 1887 Stanton Coic, powołany do South Place Chapel w Londynie przenosi północno-amerykański ruch etyczny do Anglii. Owa South Place Chapel jest to — według jego opowiadania — prosty stary budynek z cegieł wśród samego zgiełku londyńskiego city się znajdujący, tak nazwany od ulicy, przy której leży. Przez lat 63 każdej niedzieli zgromadza się tu gmina, której historya tylko do roku 1817 wstecz zbadać się daje, a która postępowała i postępuje ciągle od teologii ku umiłowaniu dobra. Od roku 1817 do roku 1852 gmina ta rozwija się pod kierownictwem Rev. W. I. Foksa, który od roku 1833 nie wybiera już tekstu Pisma za temat do kazań swoich. Od roku 1852 do 1863 gmina ta nie ma kaznodziei. Następnie miewa wykłady przez lat 21 Mr. Conway; gmina rozwija się coraz bardziej, na zgromadzeniach porannych odczytują wzniosłe ustępy z literatury wszechświatowej. Przed dziesięciu jeszcze łaty wyznaje wolnomyślny deizm, a dopiero w ostatnim dziesiątku lat w zupełności na tory właściwego moralizmu wkracza. Od roku 1884 gmina znowu nie ma kaznodziei, lecz mimo to co niedziela zbiera się dla wysłuchania wykładów, wygłaszanych przez osobistości zapraszane. Dowodem jej rozwoju, że na żądanie Stantona Coit'a przyjmuje miano towarzystwa etycznego. Prócz tej South Place Chapel, a właściwie South Place ethical society istnieje w Londynie jeszcze od roku 1887 Essex Hall ethical society, nic wroga wcale prądom dotychczasowym; zostaje ona pod kierownictwem profosora W. Wallace'a i Bernharda Bosanquet'a, a cieszy się poparciem profesorów Seeley'a i Sidgwick'a. Nadto istnieją też towarzystwa etyczne przy uniwersytetach w Oksfordzie, Cambridge, Edinburg'u i Glasgowie. Zwolennikami ruchu etycznego są także z wybitnych myślicieli Bentham, I. St. Mill, Morison, I Morley i t. d.

Ruch ten przejawia się nadto:

w Belgii — 35 związków wolnomyślnych, czasopismo „La Raison“;

w Holandyi — National society, de Dageraad w Amsterdamie i Het vrije woord w Rotterdamie,

w Szwecyi — De förnufistroendis Samfund i Götoborg i Utilistika Samfundets, czasopismo Fritankaren V. E. Lennstrand'a,

w Czechach — związek wolnomyślnych — czasopismo „Freidenker“ w Libecu;

w Szwajcaryi;

we Włoszech — towarzystwa w Rzymie, Medyolanie i Florencyi, czasopismo „Il Libere Pensatore“ Stefanoni'ego w Rzymie, nadto towarzystwa w Pizie i Neapolu,

w Hiszpanii we wszystkich większych miastach, tamże czasopisma:

w Portugalii — Associacao propagadora do livre pensamento centro di Lisboa — dwa czasopisma;

w Kanadzie — Montrenai pioneer freethougt club i general freethought association w Toronto. Organem ostatniego związku jest „secular thought“, wydawany przez Karola Wattsa, założyciela wyżej wspomnianej „british secular union“,

w Brazylii — towarzystwo pozytywistyczne,

w Wiktoryi – Australasian secular association; czasopismo „The Liberator“ Symes'a w Melbourne,

w Nowej południowej Walii — Australasian freethought union z czasopismem Freedom, ed by Collins, Sydney, dalej „New-Castle“, „The liberal association“ „Brisbane freethought association“ i „Australasian secular friendly benefic society“

w Queensland;

w Nowej Zelandyi — Dunedin freethought association — „The Rationalist“ et by Erison, Auckland;

w Tasmanii;

w Indyach wschodnich — The Madras secular society — czasopismo „The thinker“,

na Przylądku dobrej nadziei — Port Elizabeth Freethought association.

Pisma etyczne wychodzą też: w Ecuadorze — „La Verdad“ (Prawda) i w Venezueli — „El Libre-Pensador“, a moralistów znachodzimy nawet w Chinach i w Japonii.

Dr. Garfein.

(*Dokończenie nastąpi.*)

*) „Die ethischen Gesellschaften“, ein Vortrag, gehalten in Berlin am 3. Juli 1892 von Dr. Felix Adler aus New-York. Berlin; Ferd. Dümmler.

**) S. B. Weston. „The reed of an ethical religion: ethical culture, Philadelphia 1885 A. Billstein. „Ethical societies and speculative belief“. „The conservator“ vol. I. Nr. 2 Phitadelphia 1890.

***) W. L. Sheldon, an ethical view of prayer, St. Louis, Arnstein.

****) Kierownikiem jest W. Salter.

LITERATURA I SZTUKA.

Jan Kasprowicz jako poeta.

(*Odczyt dr. J. N. Szumana, wygłoszony w towarzystwie Stella*).

Kto z nas miał sposobność porównać na jednem miejscu skupione płody ducha i rękodzieł narodu naszego, — do czego n. p. ostatnia wystawa lwowska znakomitą nadawała sposobność, — tego uderzyć musiała ogromna dysproporcya między temi dwoma dziedzinami. Ogrom energii nagromadzony w przybytkach sztuki, — nieznaczne początki, niejednokrotnie pierwsze dopiero kroki na polach przemysłowych i rękodzielniczych. A jednak — wystawy krajowe, ograniczając się na płodach malarstwa, rzeźby i architektury, z natury swojej bardzo niedokładny tylko dają obraz rozwoju duchowego i artystycznego danego narodu.

W rzeczywistości stosunek tych dwóch działów w społeczeństwie naszem przedstawia się jeszcze daleko ujemniej dla płodów przemysłu i rękodzieł.

I niewątpliwie te niedostatki nasze mają swoje głębokie przyczyny, nad któremi nie tutaj miejsce się rozwodzić, — i niewątpliwie nie są one jedynemi naszemi niedostatkami i próżno przeczylibyśmy, że głos i znaczenie narodu naszego wśród chóru politycznie samodzielnych narodów Europy zaledwie dosłyszalnem echem rozbrzmiewa — a jednak dzisiaj, kiedy niewola nasza wiekowego kresu dobiegła, śmiało powiedzieć możemy, że pod względem sztuki nie ustępujemy żadnemu z mocarstw, którym utratę naszej niepodległości zawdzięczamy — i jest to może najwybitniejszy dowód żywotności naszego narodu.

Naród żyjący, któremu odjęto sposobność prawidłowego rozwoju, który nie może porówno z innymi na wielkiej arenie politycznej głosu podnosić, musi, chcąc określić swoje dążenia, nadzieje przyszłości i swój stosunek do innych narodów uciekać się do sztuki. Nasi politycy odgrywają niejednokrotnie rolę wołających na puszczy — płody naszych talentów literackich, — tłomaczone na wszystkie niemal języki europejskie, — przemawiają wymowniej za nami do całego cywilizowanego świata.

W tym pogrobowym chórze narodu rozbrzmiał i z naszej wielkopolskiej dzielnicy poczesny głos, — wydaliśmy na świat pierwszorzędny talent poetycki, dziecko kujawskiej ziemi, *Jana Kasprowicza.*

Dzieje rozwoju tego, niezwykłą twórczością obdarzonego talentu, są tak bogate treścią, że z konieczności ograniczyć się tu musimy na ogólnem scharakteryzowaniu poety i na rozpatrzeniu się bliższem w dwóch ostatnich tomach jego poezyi: „Anima lachrymans“ i „Miłość“.

Kasprowicz jest poetą o niezwykle silnej indywidualności. Do tych polotów ducha, które muzie jego ogromny i nadzwyczaj różnorodny materyał poddają: — czucie chłopa polskiego i gorące kwiaty wyobraźni biblijnego proroka — tajemnicze wdzięki przyrody i dociekania filozoficznej treści — groza i piękno śmirci i tajniki własnej cierpiącej duszy — ekstazy zmysłów i miłości i współczesne zagadnienia czasu — dostosowuje poeta niezwykłe i różnorodne formy. Jako poeta ludu przedstawia nam chłopa wielkopolskiego bez idealizowania i upiększeń z wier-

nością portrecisty, któremu chodzi jedynie o prawdę życiową w obrazie.

Całe to życie płynące w znoju ciężkiej pracy — głos przyrody przemawiającej do serc prostaczych, a jednak nie pozbawionych czucia — i niedzielne skrzypki, zlewające się z wyziewami wódki, i pogrzebowe dzwony kościółka — i porywy szlachetne i pogrzebane nadzieje i nędza i zbrodnia — wszystko to przesuwa się przed naszemi oczami z objektywizmem nie znanym dotychczas w naszej poezyi:

Wyruszyli oracze na pole,
Ostry lemiesz czarną ziemię kraje,
Przeorali jedno, drugie staje,
Rosą potu spływa trud po czole;
Przecież radość bierze
Na te skiby świeże,
Na zapach, co ogarnia chlebodajną glebę.
I z tej piersi sukmaną okrytej,
Od bławatów promienniejsze zwrotki,
A tak wonne jako miód ten słodki,
Co z bzów sączy — wznoszą się w błękity
Nad oraczów głowy,
Aby w deszcz majowy
Skroplone, paść na trawę i na kwiat rozwity.

Jest tam włościanin „Król z Biedaczewa“, który oddaje gospodarstwo swym dzieciom, a potem jak szekspirowski Lear, wygnany na słotną noc przez syna, napróżno kołacze do zamkniętych drzwi swej córki:

A! otwórz, córo jedyna!
Ojca wygnali!
Północna prawie godzina,
Jać nagi trzęsę się cały,
Jak ze zmokłego gada ciecze woda!

Ale to próżne wołania — córka, której się zdaje, że przy działach pokrzywdzoną została, odsyła go do syna:

I poszedł... Burza się wzmaga,
Burza szalona,
Jak potwór kładzie się naga
Czarnem swem cielskiem na ziemię,
To znów się zrywa i gromów maczugą
Razy wycina
Po grzbiecie boru,
Co jęczy bokiem od wsiska,
To znowu błyska
Płomiennem okiem błyskawic,
Skrami ogniska,
Które rozpala krwawa dłoń demona,
Pośród chmurzystych tych mgławic.
To znów ta burza
W swych mrokach nurza
Świat nędz i zbrodni, co drzemie
W paszczy potworu;
To znowu z gromem, swym sługą
Wije się jasną i długą —
Olbrzym-gadzina...

Jest tam dziewczyna, która zawierzyła zaklęciom zamożnego syna gospodarskiego, ale zdradzona i ścigana szyderstwem gromady, stoi z dzieckiem, owocem zakazanej miłości na ręku za wsią, nie pewna, gdzie zwrócić swe kroki. Jeszcze brzmią jej w uszach szydercze echa tłumu, — jeszcze wspomnienia niedawnych pieszczot ukochanego mięszają się w jakiś ogłuszający chór z gniewnemi słowy ojca, który za wstyd, zgotowany rodzinie, wygnał ją z domu. I razem z widmem grożącej jej zagłady, budzą się w drgającym pełnią siły organiźmie instynkta samozachowawcze i poczucie, że to dziecko, które u jej piersi bezwiednie zasypia, będzie jej na tej drodze przeszkodą i zakałą. I rozpoczyna się okropna walka instynktów życia z uczuciami macierzystej miłości:

O tak! jak brzytwy tonąca,
Schwyci się życia.
Ale cóż pocznie to niewinne dziecię?
Spojrzy... za wioską wśród trzciny ukrycia
I wśród sitowia, co wieńcem się plecie,
Staw przebłyskuje,
Staw!
Nakształt szarugi rozdartego wycia
Burza w jej wnętrzu starganem zawrzała:
O Chryste! zbaw
Duszę, co sił już nie czuje!
Zmartwiała
Z tą prośbą stała.
A słota,
Coraz ostrzejszą poświstując groźbą,
Ostatnim liściom swą kośbą
Życie odbiera,
I na jej lice dżyżysty oddech miota.
Szarpie niebieską spódnicę i zdziera
Chustkę z jej ramion, śród których sierota
Dziecko zapadło
W sen...
Oto się budzi, oczęta otwiera
I kwilić pocznie ta gołąbka mała,
A ona hen!
Ku wodzie mając twarz zbladłą,
Jak skamieniała
Nieszczęsna
Stała...

Jest tam Marcin Szafran, zwany Wiechetkiem, któremu rude włosy i twarz piegowata stanęły nieprzebytą zaporą w miłości. Kiedy ubóstwiana Kaśka oddała serce i rękę Wojtkowi „jeszcze bardziej utracił na cerze, zżółkł i posmutniał“ — ale w karczmie nie daje poznać po sobie, jak głęboko dojęła mu Kasina zdrada, — jak dawniej „przytupuje nogą — wyprawia przysiudy, aż się kolana stykają z podłogą — aż się na głowie włos rozwiera rudy.“ Jakaś twarda melancholia bije z tej postaci. —

Jest urocza Hanka Olpińska, żona szewca pijaka, która, szukając rekompensaty za życie płynące w poniewierce i bólu, przelała razem z miłością macierzystą wszystkie tłumione nadzieje cierpiącego serca na syna jedynaka. Wyobraźnia matczyna, nie mogąca wśród ohydnej atmosfery domowej znaleść karmu dla siebie, błąkała się gdzieś po niebiosach i widziała w swoim jedynaku jakiegoś przyszłego Messyasza, mającego świat na nowe tory poprowadzić i nową erą szczęśliwości złagodzić cierpienia tej ziemi. Więc każdy grosz, który zdołała ocalić przed pijacką żądzą swego męża, łożyła na szkołę dla syna, aby nadzieje swe tem rychlej w rzeczywistość zamienić.

„Ale czas przyszedł, gdzie matczyne dłonie
Nie wystarczyły. Syn o kiju ruszył
We świat, by szukać, gdzieś w dalekiej stronie
Nowej nauki, którą znaleść tuszył.
O własnych siłach — — — —
Co się z nim dzieje, matka nie odgadnie...
Aleć zdaleka niby jaka chmura,
Co naraz jasne niebiosa opadnie,
Wieść do jej duszy spłynęła ponura,
Że w synu, z nędzy zbudziła się zdradnie
Straszna, zabójcza, ojcowska natura,
Co nieraz w całe mści się pokolenia. —
Gdzież jej królestwo Boże? gdzie są jej marzenia!?

Takich postaci z życia wziętych, malujących z przedziwnym kolorytem ten dotąd w poezyi niedostatecznie wyzyskany świat, znajdujemy w utworach Kasprowicza wielkie mnóstwo. Tylko on umie łączyć jędrność i ową otwartą szorstkość języka ludu naszego z wymogami prawdziwej poezyi.

A jednak owa szorstkość zmienia się w dźwięki o dziwnej harmonji i miękkość, kiedy przyjdzie mu opisywać czary przyrody, — albo ponęty ciała niewieściego, — albo własnej duszy mary i cierpienia.

Duch jego wabiony „wieczyście młodą“ przyrodą zrzuca łańcuchy tej ziemi i wyzwolony z kajdan pożądania, ogarnięty dziwem patrzy na jej piękności i śpiewa peany radosne, w których odczuwamy jej barwy o sile uzdrawiającej i jej odgłosy, z których płynie spokój na dusze cierpiące.

Niech przed Naturą moje myśli klękną,
Niech z bożych gońców pospiechem
Lecą za echem
Tych hymnów wielkich, co biją jak gromy,
Albo tak huczą jak morze o złomy
Skał pożłobionych, albo tak szeleszczą,
Jako te wiatry, co pieszczą
Rozmiłowane w ich poszumach sosny.

Ma on jakąś mistyczną zdolność zlewania swej duszy w harmoninją jedność z wdziękami natury, — a wtedy płyną potoki słów o niezwykłej głębi uczucia, szumi jakiś hymn potężny, jakoby odgłos puszcz prawiecznych, gdzie człowiek nie przeciwstawia się naturze, bo siły które go na świat wydać mają, drzemią jeszcze w tajemniczych głębiach przyrody.

Przypłynął ku mnie cichy przytłumiony
Jęk wszczęty w sosnach na krawędzi boru
I wnet ogarnął wszystkie drzew korony,
Spowite w ciszy letniego wieczoru.
I las tajemnych dźwięków milijony,
Rozpełzujących się w głębie przestworu,
Jał wydobywać z swej piersi zielonej,
Zbyt późne echa przedwiecznego choru,
I moją duszę, jakby była drzewem
Pełnem konarów, liściastych gałęzi,
Szum ten głęboki w dziwne wprawił drzenie, —
Nim się spostrzegłem, z cielesnej uwięzi
Rwie się i płynie w ślad za sosen śpiewem
Gdzieś w bezgraniczne, nieznane przestrzenie.

Kasprowicz jest poetą na wskroś nowożytnym; nie wacha się starych, utartych wyobrażeń, którym ogół hołduje, ochrzcić otwarcie mianem przesądu i na miejsce dawnych bogów i idolów postawić nowe życiem i siłą tryskające, bo

„Nie taki cel boskiego męża,
Aby się lękał przed obelgą tłumu,
Co, jak kłos z ziarna, odarty z rozumu,
Na swych najlepszych dobywa oręża.“

Wierzy on w przyszłość, co rozjaśni beznadziejne mroki współczesne i duch jego „po nad tę ziemię ciemności i sromu“ patrzy w dalekie horyzonty „gdzie z po za mgławic wystrzela swobody jasna potęga.“

I naprzeciw szachrajom „co syczą niby chytre węże“ i naprzeciw zaprzańcom, „co się kryją w głębi wygodnego cienia„ i naprzeciw helotom spodlonym niewolą „co liżą krwawe dłonie“

Zbrojne w żelazo i padają plackiem,
Zamiast do góry w swoich praw obronie
Podnosić czoła, — — — —

ciska swój protest niepodległego ducha:

„Głos od wojennej silniejszy fanfary:
Z drogi szkielety, z drogi, którym oczy
Na nic żwirowa wyżarła kurzawa,
Oto się zastęp nowych jeźdców tłoczy,
Ustąpcie prawa!“

A że w tej walce, toczącej się na nierównem tle codziennego życia nie zawsze i nie rychło duch zwycięża, — więc po chwilach promiennych przychodzą zaćmienia ducha i ból i pragnienie nicestwa. A wtedy śmierć wydaje się inną, niż ją stworzyła wyobraźnia szarego, życiu potakującego tłumu — i tam, gdzie spragnieni życia widzą „zimną i cuchnącą martwość żółtej kości i puste jamy oczodołów“, uśmiecha się poecie piękność wieczysta i zapowiedź upragnionej na wieki ciszy.

„O śmierci! bolejących jestestw zbawicielko!
Ze sfer, gdzie myśli ludzkiej opadają skrzydła...
— Do wymarzonych włości
Zabierz mnie dzisiaj, gdzie się duch nie żali,
Gdzie rozkosz sączy kropla za kropelką....
O śmierci! bolejących jestestw zbawicielko!“

Ale cierpienie i pragnienie niebytu nie jest kresem, — duch błąkający się po samotnych wyżynach, widzi przepaść, dzielącą go od współczesnego świata i doznaje wstrząśnień bolesnych, które na nowo twórcze siły napinają. Wtedy przejęty poczuciem nieubłaganej konieczności losu, który stawiając człowieka nad syty tłum jednodniówek — nie sięgających wzrokiem po za marne radości i dążenia dnia dzisiejszego, — tem samem na ból i prometeuszowe męki go wskazuje — nie miota się w bezsilnej wściekłości, ale błogosławi boleści:

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia
Boleści! —

W przedstawieniu miłości przeważają wschodnie gorące barwy i blaski — i chór pobudliwych, grą wyobraźni podniecónych zmysłów poety płonie tam w namiętnych całopaleniach.

Miłość, dawczyni łask,
Zrodzona pośród błękitów,
Wiewem mnie swoim owiała.
Ach! i od bluszczów wiotsza
Pnie się ma dusza
Płonąca cała
Około pragnień drzewa,
Co swym wierzchołkiem ku błękitom sięga.
Przejmuje słodki ją dreszcz. —
Wszystkie w niej struny porusza
Jakaś ukryta potęga,
Jakaś nieznana dłoń,
I dusza ma
Jak lutnia gra,
Radosne hymny śpiewa.

Miłość to wolna od więzów, które świat na nią nakłada, depcząca jego prawa — i jak starożytna Afrodyta z fal morskich się wynurzająca, dumna swą nagością. Do prawdziwych skarbów erotyki należy pieśń; „W turniach„.“

Dwoje ludzi, upojonych miłością ku sobie, błądzi wśród śnieżnych wyżyn tatrzańskich, wśród aureoli blasków słonecznych, rozbijających się w brylanty na kryształach wieczystych śniegów, wśród grozy ciemnych lasów świerkowych i dzikich, poszarpanych skał — i święci na tej pustyni martwej swą miłość:

„Widzisz, zapadła noc,
Cicho jak w wielkiej mogile,
Świat nam spoczynku nie spłoszy. —
Cóż nas obchodzi świat
I jego wszystka moc,
Cóż nas obchodzić może?
Tu, gdzie tych głazów spad,
Miękkie zgotuję ci łoże
I od mroźnego tchu
Ciałem cię własnem zakryję!
Do snu
Tulić cię będą gorące
Całunki me!
Wypiję

Krew z twoich żył
I swe oddechy wrzące
W twe żyły tchnę
A świat roztrącę
W pył!...“

Czasami jednak stopiona płomiennem tchnieniem powłoka zmysłowa opada i ukazuje nam kształty idealniejsze — i wtedy miłość staje się słupem ognistym, prowadzącym z trzęsawisk tego życia ku jasnym wyżynom duchowym. Jak nieskalana kapłanka znicza pali święte ognie, broniąc do duszy wrażliwej przystępu brudnym podszeptom i ponętom świata. I wtedy powstają jasne, dziwnym czarem owiane obrazy o wprost odmiennym kolorycie, jakbyśmy nagle z żarów słonecznych przeszli pod dobroczynny chłód miesięcznych blasków:

„Gdy mnie ogarnia zmrok, co dusze człecze
Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,
Spieszą nademną zbawczą spełniać pieczę
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.
I zło, uchodząc po za sobą wlecze
Tabor swych skutków i w nicość się toczy,
Tak je spłoszyły, jak cherubów miecze,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.
I znów oczyszczon i znowu ochoczy
Do tego życia, które mi zmieniły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.
Tulę do piersi ten mój skarb uroczy
Ach i całuję pełen nowej siły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.“

Łatwość słowa i wiersza, niezwykły polot wyobraźni, nasuwający prawdziwy natłok porównań, ogromna giętkość języka — właściwości wynoszące Kasprowicza po nad plejadę współczesnych poetów, tworzą zarazem niebezpieczeństwo dla jego muzy. Myśl, przytłoczona takim balastem słów, częstokroć nie uplastycznia się dostatecznie, wyobraźnia czytelnika nie znajduje już karmu dla siebie. Nadmierna długość zdań przerywanych masą epizodów, powiększa jeszcze ten brak przejrzystości. Te właściwości jego poezyi, w parze ze skłonnością do refleksyi, nadają jej pewną miękkość, nie dozwalającą wznosić się do owej druzgocącej siły, cechującej zazwyczaj pierwszorzędnych poetów. Dla tego popada on łatwo w ton gawędy, chociaż powiedzieć nie można, aby ta właśnie forma poetyczna przemawiała najsilniej do czytelnika. Tam, gdzie podniosłość treści i trudności wiązanej formy nie pozwalają na wyżej wspomniane błędy, powstają też prawdziwe perły poetyczne, krótkie liryczne wiersze, porywające dźwiękiem słowa i głębią uczucia.

Taką przedstawia się poezya Kasprowicza, jeżeli objektywnie zestawimy jej światła i cienie, o ile to w takim dorywczym szkicu jest możliwe. —

Jest jednak jeszcze inny probierz, przemawiający wymownie na korzyść poety. Między nami, na glebie, która go wydała, jest Kasprowicz jako poeta tak dobrze jak nieznany. Tak raz jeszcze sprawdza się przysłowie: „*Nemo propheta in patria.*“

Zaiste na szerokiej trzeba stanąć duchowej widowni i wysoko nad społeczeństwo wynieść się umysłem, aby możność porozumienia ustała. Szary tłum, któremu wiekowym wysiłkiem wpojono zasady etyczne ma skłonność to, co jest tylko etapem rozwoju, zamieniać na niezmienne prawa i wynosić na piedestały świętości. Ale ci, co stojąc na wyżynie, wzrok wysyłają aż do dalekich mroków przeszłości — i widzą początki i powolny rozwój tych ideałów, wynurzających się nieraz wiekową przemianą z drapieżnych i egoistycznych popędów człowieka — patrzą innemi oczyma na dzień dzisiejszy i rozumieją, że jutro może w proch rozmieść posągi przed któremi dziś w prochu czoła chylimy.

Inny też jest podkład fizyczny organizmu poety. Wrażliwsza zmysłowość, silniejsza, bo na skarbach własnego szczodrego serca zbudowana wiara w ludzi, nadmierna pobudliwość wobec zewnętrznych podniet i te ognie zapału, — niezrozumiałe dla zimnego, rachującego ogółu, — oto zwykłe przyczyny owych „błędów“ życiowych, które czasami na nowe zawrotne wyżyny twórczości niespokojnego ducha prowadzą, — czasami pędzą go po spadzistych stokach wykolejenia.

Gdy miarowy wiatr chłoszcze obszary oceanu, chwieje się tylko powierzchnia i pędzi ciężkie, bezsilne fale ku brzegom. — Ale gdy orkan zahuczy nad odmętem, podnoszą się spienione bałwany jak góry i odsłaniając ciemnych głębin tajemnice, wstrząsają skały nadbrzeżne w posadach! Takim odmętem, na którym orkany uczuć ogromne harce wyprawiają, jest dusza poety. A ogół, do którego zdala dochodzą echa tych walk tytanicznych i przebłyski głębin ducha odsłanianych w boleści — zbiera perły i korale pieśni, które burza wyrzuciła na brzegi, i zbogacony połowem, przykłada własną miarę do poety, sądzi go — i znajduje winnym.

Tak jest dzisiaj — i tak zapewne długo jeszcze będzie na świecie. — A ci, przeciw którym głos potępienia się podnosi — nie skarżą się na to.

Pionierzy dalekiej przyszłości, zapatrzeni w jasne swoje cele, w życiu codziennem i w walce o chleb powszedni nie bardzo radzić sobie umieją — i nie dbają o poklask współczesnych.

A kiedy smutnej rzeczywistości ciernie wbijają się w ciało, nie jęczą i nie złorzeczą światu, ale z dumą podnoszą głowę i wołają z Kasprowiczem:

Że mi podano gorycz do wypicia,
Co jadem swoim zdrój miłości truje,
Żem wśród czarnego nie znalazł pokrycia
Złocistych cacek i jasnych farb życia,
Nie żałuję...

Że moja dusza walkami się strudzi
I że tych kajdan los jej nie rozkuje,
Że żywot skończę z daleka od ludzi,
Że mnie do nieba archanioł nie zbudzi,
Nie żałuję.

Jeszcze o restauracyi *ruiny kościoła N. P. Maryi* w Inowrocławiu.

(Dokończenie.)

W zupełnem przeciwieństwie do tego stanęliśmy *w programie* naszym, który radzilibyśmy gorliwemu, ale nie dosyć z tego rodzaju zadaniem architektonicznem obeznanemu autorowi repliki raz jeszcze sobie przeczytać. Do streszczenia bowiem naszego programu wyczytanego w replice Kuryera, a przeinaczającego zupełnie nasze zamiary przyznać się nie możemy. Nam zależało zarówno na *odpowiedniem* wyrestaurowaniu ruiny jak i na zadosyćuczynieniu *wszelkim* wymaganiom parafialnym tak co do potrzebnej płaszczyzny jak i wysokości nowo przybudować się mającej części. Cieszy nas, że autor repliki zabiera głos „nie tylko dla tego, że sprawa tej najstarszej świątyni w Księztwie żywo obchodzi *całe społeczeństwo*, ale i ztąd, ażeby nie poinformowani dostatecznie ludzie nie sądzili, że indolencya albo ignorancya kół interesowanych przyczyną była, że wykonanym nie został nasz plan restauracyi;“ dla tego autorowi jako lajkowi nie poczytujemy za złe, iż w swem niezrozumieniu programu naszego zarzuca nam pominięcie najważniejszych warunków praktycznych, jakim przy projektowaniu *każdego* budynku zadość uczynić należy. Naszem zdaniem możnaby pogodzić restauracyą z rozbudowaniem snadnie; tylko prosilibyśmy, przy zamiłowaniu do sprawy o mniej uprzedzenia przeciwko myślom pochodzącym od swoich; wyrażamy życzenie, aby nie zagradzano teraz drogi odpowiedniejszym może pomysłom dla pory niby to już spóźnionej, podczas gdy na przepracowanie myśli ostatecznie w szkicu prof. Rinklake'go przedstawionej można było około 2 lat czasu równie drogiego poświęcić. Nie chcielibyśmy powtarzać, co w pierwszym artykule (nr. 9) powiedzieliśmy, zaznaczamy tylko wyraźnie, iż nasz program do opracowania nowego szkicu domaga się odrestaurowania starej ruiny, jako osobnej dla siebie całości, która w podany przez nas sposób mogłaby jako wyłącznie na cześć Matki Boskiej przeznaczona kaplica być z nowo pobudować się mającym kościołem połączoną, a pozostać przytem integralną częścią tego kościoła.

Nie tu miejsce do zapuszczania się na zbijanie dziwnych nieraz wywodów autora repliki „Kuryerowej“, które on mieni być „dowodami na to, że projekt nasz *nie miałby i nie mógłby mieć* najmniejszych widoków powodzenia“, gdyż „dowody“ te bezimiennego autora wychodzą z błędnego założenia i polegają na fałszywem zrozumieniu programu naszego. Wyrozumieją nam przeto, Szanowni Czytelnicy „Przeglądu“, iż przed ich forum tego rodzaju „dowodów“ na tapet wyciągać nie będziemy, postaramy się z nimi rozprawić w „Kuryerze Pozn.“, który dla nich łamy swe otworzył. Ciekawych odsyłamy więc do „Kuryera“, gdzieśmy rzecz autora szczegółowej poddali ocenie.

Po pojęciu rzeczy, jako też nie mniej po nieobeznaniu autora z możliwością pogodzenia ze sobą różnych stylów średniowiecznych, nie trudno nam było w nim odgadnąć dyletanta, gorliwego wprawdzie, lecz lubującego się we frazeologii i zapuszczającego się przy rozprawach za daleko na pole czysto zawodowe. Replika jego zdradza dobre chęci i gotowość do pisania szumnie *de omnibus rebus...* (do twierdzenia tego np. wobec ostatniego ustępuu repliki, lub wobec ustępu o stylach sądzimy być uprawnionymi) — ale to braku zrozumienia rzeczy i niewystarczającej jeszcze na tem polu erudykcyi nie zastąpi.

Ciekawibyśmy byli, coby powiedzieli teolodzy, lub medycy, gdybyśmy odważyć mieli się wtargnąć z miną magistra w dziedzinę teologii, lub medycyny, jak to spodobało się autorowi repliki „Kuryerowej“, w rzeczach budownictwa dotyczących. Nie wiem, czyby nie wzdrygnęli ramionami i nie powiedzieli tego, co ów malarz w starożytności do mądrującego o malarstwie fabrykanta obuwia. Lecz żart na stronę! Dalecy jesteśmy od tego, ażeby światłych mężów z innych zawodów odsądzać od zabierania głosu w rzeczach, naszego zawodu dotyczących. Znane są nam np. z Niemiec różne powagi na polu budownictwa kościelnego i wogóle sztuki kościelnej, nie będące architektami, malarzami itp., że tylko wspomnimy z całą czcią im należną nazwiska: Aug. Reichenspergera, kanoników Schüttgena z Kolonii i dr. Schneidera z Moguncyi, albo przedwcześnie zgasłego proboszcza frankfurtskiego Münzenbergera. Ale uznanie takie zdobywa się u fachowców dopiero mozolnemi studyami przy rozlicznych podróżach, na których wiele i bardzo wiele widzieć i studyować trzeba. Jak my pod tym względem daleko pozostajemy za Niemcami! U nas już samo zainteresowanie się rzeczywiste sztuką kościelną wysoko podnieść należy i to też u autora repliki z radością uznajemy. Niech więc te słowa, dalekie od niesmacznych pochlebstw, lecz ze serca płynące, nie zrażają autora repliki, a uciesżylibyśmy się, gdybyśmy go później jako powagę na tem polu uznawać mogli.

Na jeden wszakże zarzut, uczyniony zamysłom naszym, chcielibyśmy pokrótce odpowiedzieć. Autor repliki podaje koszta odrestaurowania starego kościoła za niewiadomo jakim „budowniczym królewskim“ na 72,000 marek, które oznaczyć miano przed „przeszło 20 laty“. I tę nawet, jakby sądzić można, wiarogodną cyfrę śmiałbym podać we wątpliwość, wiedząc z doświadczenia, co u nas lajkowie przez „kosztorysy“ rozumieją. Dopóki mnie autor naocznie nie przekona, przypuszczam i tu grubą pomyłkę w liczbach. Może cyfra ta odnosi się do więcej lub inaczej rozbudowanej ruiny, aniżeli to naszym było zamiarem. Ruina bowiem cała, jak jest, z presbyteryum i wieżami, pokrywa okr. 464 kwadr. metrów zabudowanej płaszczyzny. Budowałem i obliczałem dokładnie kościoły podobnej konstrukcyi z drewnianemi pułapami i tam przy podobnym układzie wypadł 1 kw. metr zabudowanej płaszczyzny z gruntu nowego kościoła po 90 marek; wnosząc podług tego, mógłbym liczbę, podaną przez autora repliki, zniżyć mniej więcej o połowę, uwzględniając już trudności, jakie przy rekonstrukcyi nasunąć się mogą.

Jak pod słońcem niczego nie ma nowego, tak i rozbudowanie, przez nas przedstawione pod prostym kątem do pierwszej osi starego budynku ma swego poprzednika we wspomnianem przezemnie dawniej rozbudowaniu starożytnej kaplicy romańskiej w Gielsdorf pod Bonn (por. Zeitschrift f. christl. Kunst 1888 str. 201).

do której znany architekt koloński V. Statz w roku 1880 dwunawową kaplicę ku ogólnemu zadowoleniu *w gotyckim* stylu dobudował. Podane przez nas źródło mówi w tej sprawie: „W ten sposób ze wspólnej obydwom kaplicom wieży starej powstała w promieniach ku wschodowi i południu grupa budynków uroczo się przedstawiająca: przykład to pouczający a naśladowania godny, jak wymagania teraźniejszości porówno z wymaganiami przeszłości w praktyczny sposob uwzględniać należy. Komu wiadomem, jak często jeszcze i nie najrzadziej w miastach daleko w kulturze posuniętych, niepowetowane dzieła zamierzchłych czasów bez śladu znikają. ten nie odmówi uznania tym mężom, którzy dołożyli wszelkich starań, aby tu w ustroniu wiejskiem zachować budynek tak z powstaniem, jak i z historyą rodzinnego miejsca ściśle związany“.

W tych przekonaniach utwierdził nas jeszcze mocniej przed kilku dniami odebrany zeszyt 4. z roku 1894 wychodzącego wydawnictwa p. t. Neumeister u. Häberle, Neubauten (S. A. Seemann's Verlag, Leipzig 1894), gdzie przy dwóch katolickich kościołach parafialnych wykonanych przez arcybiskupi urząd budowniczy z Karlsruhe w podobnie malowniczy sposób zużyto poszanowania godne części stare do budowy nowych przybytków Bożych.

Autor repliki rozwodząc się nad owemi kosztami, jakieby odrestaurowanie ruiny za sobą pociągnęło, mówi jakby na odstraszenie: „Dziś z wyjątkiem północnej ściany i wyższej wieży wszystko porysowane i popaczone, częściowo grozi upadkiem.“ W pewnem przeciwieństwie zaś do tego pisze na samym końcu: „Podobnie jak nikt z gotowego chleba, choćby go znowu na mąkę starł, nowego smacznego chleba nie upiecze, — tak też i z tych starych murów, które siedem wieków na rozległe pola patrzą, żaden architekt nowoczesny obszerniejszego kościoła nie zbuduje (Jakby o tem była mowa!) Wszelkie próby i trudy w tym kierunku poniesione zdołałyby chyba tylko zniszczyć piękne propozycye (zapewne: proporcye? Przyp. Red.) rozbić harmonią architektonicznych rozmiarów tej poważnej świątyni, *która potęgą swoich murów, twardością swoich granitów, połączonych niby ołowianą spójnią ze sobą,* przetrwała tyle wieków — świadek milczący odrodzenia i upadku Ojczyzny, — symbol niewzruszonej potęgi wiary ojców naszych.“

My również i z własnych oględzin i z 10 przed kilku laty zdjętych fotografii budynku, w których osadzenie każdego kamienia można studyować, o tej „potędze murów“ mocno przeświadczeni jesteśmy; a dowiedzieliśmy się w ostatnich dniach z najkompetentniejszego źródła, że nie tylko mury okalające ruinę, lecz nawet wieża północna z 4 stron popękana, gdy ani miasto Inowrocław, ani gmina kościelna, ani stany prowincyonalne, niczego na ich utrzymanie łożyć nie chciały, z uznania godnej łaski i kosztem rządu od lat kilku przed dalszem spustoszeniem na długie lata zabezpieczone zostały. Mury z wierzchu cementem i darnią pokryto, pęknięcia wypełniono, i tam, gdzie ongi rozbrzmiewały pienia i unosiły się modły do Pana Zastępów, ma zalegnąć cisza grobowa...

Konserwatorzy rządowi twierdzą, iż ponieważ w naszych stronach nie ma ta ruina rówieśnika, (?) podług którego możnaby ją wiarogodnie odrestaurować, (?) więc zamiast restauracyę nieodpowiednio do ducha owej epoki przeprowadzić (jak to się n. p. przy kolegiacie w Kruszwicy nie z winy rządu stało) lepiej będzie ten dawny kościół P. Maryi jako cenną ruinę przed dalszem zniszczeniem zabezpieczyć i w tym stanie przekazać ją potomności jak to i gdzie indziej w Niemczech się stało n. p. ze zwaliskami klasztornemi w Eldenie pod Gryfią, lub z ruinami pałacu cesarskiego w Gelnhausen i z tylu innemi resztkami zamków rycerskich nad Renem. Sąd o tem zapatrywaniu pozostawić możemy Szanownym Czytelnikom, kładąc od siebie na właściwem miejscu znaki zapytania. Dla zwalisk klasztornych w prowincyi teraz na wskroś protestanckiej, lub dla zamków, które nie mogą mieć teraz żadnego, ani praktycznego, ani strategicznego znaczenia więcej taki rodzaj zakonserwowania zdaje nam się być uprawnionym aniżeli dla katolickiej świątyni w kraju rdzennie od wieków katolickim. Przekonani jesteśmy, iż dokładniejsze w innych stronach dawnej Polski na miejscu dokonane studya na rówieśnikach ruiny zapewneby zapatrywania nasze co do *odpowiedniego* odrestaurowania ruiny i to w połączeniu z nowo pobudować się mającym kościołem potwierdziły.

* * *

Po przygotowaniu już artykułu tego do druku był autor repliki łaskaw na zaprzeczenie nasze podane pokrótce do „Kuryera Pozn.“ podpisać krótką odpowiedź w nr. 68 tegoż pisma swem nazwiskiem. Nie podajemy go wszakże, sądząc, że czytelnikom mniej na tem zależy, a więcej na wszechstronnem wyczerpaniu dyskusyi. którą nie chcąc nadużyć gościnności „Przeglądu“ dla siebie za zamkniętą uważamy. Terazby raczej działać aniżeli rozpisywać się należało. póki czas jeszcze.

Sprostowanie. W pierwszej części artykułu tego, zamieszczonej w ubiegłym numerze, czytać należy zamiast „dusz 157“ — „**dusz 757**“.

J. Rakowicz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Polemika profesorów.

(W sprawie przypuszczenia kobiet do studyów lekarskich).

Jest to cechą nam właściwą, że kiedy gdzieindziej nad dana kwestyą przechodzi się już do porządku dziennego, u nas wtedy zaczyna się kwestyę tę rozpatrywać i zastanawiać się nad nią głęboko, aby po wielu naradach, dyskusyach pro i contra dojść do wniosku, że najlepiej zostawić wszystko tak jak było — poczciwym ku radości i uciesze ludziom. Dowodem tego jest też kwestya przypuszczenia kobiet do studyów medycznych w Krakowie. Za granicą sprawa studyów lekarskich dla kobiet jest już dawno „ein überwundener Standpunkt.“ Pionierki sprawy kobiecej, załatwiwszy sprawę tę zwycięzko, walczą teraz w imię haseł nowych, w imię nadania kobiecie praw obywatelskich. Tymczasem u nas dopiero teraz kwestya przypuszczenia kobiet do studyów medycznych zbudziła w ciężkim śnie pogrążone umysły.

Gdyby nie to, że uniwersytet krakowski ma dla kobiet znaczenie stokroć większe, niż każdy uniwersytet zagraniczny, — gdyby nie to, — pewne poważne słowo, które usłyszeliśmy w tej sprawie w czasach ostatnich, mogłoby przejść zupełnie niespostrzeżenie. Ale do bram uniwersytetu krakowskiego kołaczą całe zastępy młodych kobiet i ważną jest dla nich wiadomość, jak na tę sprawę zapatrują się ci, od których rozstrzygnięcie jej zależy.

Z wysokości więc katedry uniwersyteckiej odezwał się głos, który miał zamiar wypowiedzieć kilka doniosłych wyrazów w sprawie dopuszczenia kobiet do uniwersytetu krakowskiego. Był to głos profesora chirurgii, dr. Rydygiera.

W czasie, kiedy sprawę otworzenia uniwersytetu kobietom, omawiano na wszystkich zebraniach towarzyskich — kiedy zastanawiano się nad nią głośno i cicho, prywatnie i publicznie, kiedy w zwykle spokojnym Krakowie powstało ogólne zainteresowanie umysłów, tak męzkiego jak żeńskiego rodzaju, w tym czasie wystąpił nagle prof. Rydygier i przemówił z katedry, przemówił z pompą senatora rzymskiego w sprawie obecnie, jak się wyraził „modnej“, i natarczywie do nas przystępującej. Na wywody prof. Rydygiera w „Przeglądzie lekarskim“ odpowiedział również w temże piśmie prof. Cybulski, któremu znowuż prof. R. nie pozostał dłużnym odpowiedzi. Zdaje się, że prof. C. pominie milczeniem ostatnie słowa swego przeciwnika, w obec więc tego, polemikę profesorską możemy uważać za ukończoną.

Polemika ta jest objawem nader ciekawym, ze względu na umysłowe stosunki kraju naszego. Jest ona w tym wypadku nietylko polemiką dwóch niezgadzających się w swych opiniach jednostek. Ma ona znaczenie donioślejsze, ponieważ charakteryzuje najwymowniej grono profesorów uniwersytetu krakowskiego, owe dwa obozy, z których jeden wraz z prof. Rydygierem żegna się z przestrachu przed okrutnem widmem lekarza-kobiety — a drugi, oceniając sprawę z szerszego psychologicznego i społecznego stanowiska i uznając skuteczną działalność lekarki za granicą, stara się usilnie otworzyć kobiecie podwoje Alma mater.

Prof. Rydygier przemówił z gnębiącym wyrokiem ku radości tych, co w kwestyi kobiecej używają argumentów tego rodzaju: niech wychodzą za mąż, niech mają dzieci, niech szyją, gotują itd., itd. ale nie... — wiecie już resztę.

Ehret die Frauen,
Sie flechten und webee
Himmlische Rosen
In's irdische Leben,

powtarza on za poetą i z tego idealnie szyllerowskiego punktu widzenia, ocenia sprawę studyów medycznych dla kobiet. „Póki u mnie w Mydlnikach słowik śpiewa i żer przynosi samiczce, póty ja w możliwość równouprawnienia kobiety nie uwierzę“ — powiada prof. Rydygier w swoim artykule. Cóż jednak powie szanowny profesor na to, jeżeli sprawa równouprawnienia kobiet postąpi znacznie naprzód, a jego słowiki dalej jaknajcudniej wyśpiewywać będą?

Tak jak równouprawnienie kobiet jest „nonsensem,“ tak studya lekarskie są czemś zupełnie dla kobiety nieodpowiedniem — w oczach prof. R. Kobieta bowiem tak pod względem sił fizycznych, jak zdolności umysłowych nie jest w stanie uczynić zadość obowiązkom lekarza praktykującego. Będąc lekarzem na wsi, bywał nieraz w położeniu nadzwyczaj przykrem wykonania operacyi, które należą wprawdzie do zakresu chorób kobiecych, ale przecież przechodzą siły i zdolności „eines ärztlichen Fräuleins“. Prof. Laskowski dostarcza prof. R. dosyć danych, na dowód braku uzdolnienia kobiet-lekarzy, a prof. Dohrn popiera go w powątpiewaniu w możliwość działalności lekarza-kobiety. Wywodom prof. R. przyznała kompletną racyę warszawska „Medycyna“, która radzi wszystkim tym, którzy co do studyów medycznych dla kobiety nie wyrobili sobie własnego zdania — przeczytanie artykułu prof. R. Mamy jednak nadzieję, że ogół społeczeństwa ma już w tej kwestyi zdanie wyrobione i słowa prof. R. nie będą mogły wywrzeć bardzo szkodliwego wpływu.

O ile prof. R. przemawia ze zdumiewającą pewnością siebie i olimpijską powagą, o tyle odpowiedź prof. C. napisana jest z nadzwyczajną godnością, znajomością przedmiotu i bardzo rzadkim we wszelkiego rodzaju polemikach i dyskusyach talentem i delikatnością. Prof. C. znany w świecie naukowym z swoich prac w dziedzinie fizyologii, miał z kobietami-lekarzami stosunków wiele, zna ich działalność tak w Rosyi, jak na Zachodzie i udawadnia przykładami z życia, że kobieta zadaniom swym, jako lekarz gminny, doskonale podołać może, a w razie operacyi trudnej lub niebezpiecznej, albo zrobi tę operacyą, jak każdy lekarz wiejski z dobrym lub złym skutkiem, albo też wyśle pacyentkę do miasta dla porady specyalistów i profesorów, jak się to zresztą oddawna praktykuje wszędzie tam, gdzie kobieta lekarka jest nieznaną. Wobec powag takich, jak prof. Laskowski lub Dohrn, którymi zasłania się w wywodach swoich prof. Rydygier, przytacza prof. C. opinię prof. Gaulego, Erismana, Miecznikowa, którzy opierając się na obserwacyi życiowej, jednogłośnie pracy kobiety-lekarza przyklaskują.

W Krakowie jednak, w tem arcymoralnem i zważającem na czystość obyczajów mieście, powinien chyba wszystkich przekonać argument

prof. C., że niema chyba barbarzyństwa większego nad zmuszanie młodych kobiet do uciekania się w chorobach czysto kobiecych do pomocy lekarza-mężczyzny, barbarzyństwa, które zostałoby usuniętem przez działalność kobiety-lekarki, a wraz z niem tysiączne chroniczne choroby kobiece, będące jedynie wynikiem żenady i wzdrygania się przed zawezwaniem lekarza-mężczyzny.

Zdaje się jednak, że ani mądry spokój prof. C., ani jasność i trafność jego zdania, a nareszcie sama sprawa, dla której walczy — nie zdołają przekonać prof. R. i zwolenników jego teoryi o słuszności żądań kobiecych. Prof. R. pragnie dla kobiety jeno owych zalet, które poeci świata w szyllerowski sposób opiewali, a choć prof. C. zapewnia, że znajdą się poeci, którzy potrafią sławić pracę kobiet i ich dążenie do światła i nauki równie pięknie, jak dotąd opiewali ich zalotność i wdzięki, to prof. R. przecież w zapewnienia te nie wierzy i wykrzykuje z właściwym sobie patosem jeszcze raz i jeszcze głośniej:

— Precz od nas z dziwolągiem kobiety-lekarza! Czyńcie, co każe Pan Bóg i stary matek obyczaj — powiada prof. R. — a będzie dobrze!

Jest więc prof. R. w tej polemice reprezentantem tej części krakowskich profesorów, którzy przeoczając co się dzieje na szerokim świecie, nie mając zrozumienia dla społecznych i ekonomicznych potrzeb kraju, stają jak jeden mąż, aby z całą wytrwałością, z całą energią i uporem bronić kobiecie wstępu na uniwersytet. Niestety tych jest większość! Wprawdzie dr. Stockmann powiada, że racya jest zawsze po stronie mniejszości, ale dla kobiet jest to pociechą tylko bardzo platonicznej natury, pociechą, z której tak długo nie będzie korzyści żadnej, aż szeregi obecnej większości się nie przerzedzą.

Komu jednakowoż od wszystkich kobiet w kraju i zagranicą należy się wyraz serdecznego uznania — to prof. Cybulskiemu, za to, że ujął się za sprawą kobiet i walczył w ich imieniu. Zdanie prof. C. jest pierwszem u nas ex catedra za przypuszczeniem kobiet do studyów lekarskich — jest jedynym prawdziwie poważnym (nie w znaczeniu prof. R.) głosem, za otwarciem kobietom uniwersytetu. Jest to objawem pocieszającym, że mamy przecież w świecie naukowym jednostki, które na sprawę kobiet należycie się zapatrują i należycie ją rozumieją. Gdyby takich jednostek było więcej, sprawa przyjmowania kobiet na uniwersytet wzięłaby całkiem inny obrót. Na razie jednak spełnia się życzenie prof. Rydygiera — wszystko jest tak, jak było, „jak każe Pan Bóg i stary matek obyczaj.“

J. Z.

Ze Slązka Polskiego.

Śmierć ks. Damrotha. — Czesław Lubiński. — Wstydzą się, czy się boją? — Jak chowają poetę polskiego na Ślązku. — Bismarkfeier. — Zacna Polka. — Pruski urzędnik z pod Jarocina. — Zebranie tow. polsk.

Złowrogą wieść nam Marzec przyniósł. W Pilchowicach umarł ks. Konstanty Damroth, rodem z Lublińca. Nazwisko to mało jest znane po za granicami Slązka, mimo, że je nosił za życia najznakomitszy syn tej zapadłej dzielnicy naszej Ojczyzny. Kto się chce przekonać, czem był śp. ks. Damroth dla Slązka i Polski w szerszem znaczeniu tego słowa, ten niechaj przerzuci poezye Czesława Lubińskiego, jeżeli dotąd tego nie uczynił (nakładem „Katolika“ w Bytomiu). Lubiński bowiem to pseudonim śp. ks. Damrotha, przyjęty od jego miejsca urodzenia — Lublińca. Daleko mu oczywiście do królów poezyi naszej, daleko nawet do wybitniejszych poetów doby współczesnej — ale on *Slązak* i pieśni jego świętym protestem rozbrzmiewały tam, gdzie uśpiony duch polski budzi się dopiero z letargu, a wróg wyje nad uchem: Tu nie ma ludu polskiego!

To, czego za życia pieśniarza ślązkiego uczynić nie było można, nie chcąc osoby zgasłego na większe jeszcze prześladowania ze strony Niemców narażać, wolno dziś — wolno bryzgnąć im w oczy, że kłamstwem obłudnem jest ich straszak przezwany „wielkopolską agitacyą.“ Ks. Damroth, to nie „Wielkopolanin“ podburzający spokojny i wiernopoddańczy lud ślązki, lecz kość z kości ślązak i Polak, który dopiero jako akademik poprawnie po polsku czytać się nauczył. On nie znał Ślązka bez Polski, jak również nie mógł sobie wyobrazić Polski bez Ślązka.

Lud tu sobie opowiada, że ks. D. patrzał na krzywdy przez Niemców wyrządzane, więc serce poety z żalu pękło i umarł.

Pogrzeb śp. ks. Damrotha odbyty dnia 9go bm., to zbezczeszczenie pamięci Zgasłego. Polak całą duszą, którego ostatniem życzeniem było:

Gdy raz umrę, życzę sobie,
Aby stanął przy mym grobie
Choćby jeden, nawrócony
Słowem mojem; z drugiej strony
Jeden, co za mą przemową
Duszę swą zachował zdrową;
Wkoło ludek nasz serdeczny
Westchnął na mój spokój wieczny;
Dziatek polskich zaś drużyna
Śpiewała: S a l v e r e g i n a!

żegnany był niemiecką przemową i dopiero przy końcu, niby z łaski, odezwano się do ludu polskiego, bardzo licznie zebranego, temi mniej więcej słowy:

„Widzę, że tu przyszli i tacy, co mówią po polsku. A to ładnie, żeście tu przyszli i dziękuję wam. A teraz zmówmy za tego umarłego jedno „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Marya.““

Nic mniej — nic więcej!

Urywane słowa jak: wstydzą się, czy się boją?! lub: tak chowają polskiego poetę na Ślązku!... coraz gęściej padały w tłumach żałobnych i nie bez trudu udało się inteligentniejszym jednostkom lud rozżalony odwieść od demonstracyi, na którą się zanosiło nie na żarty.

Lecz cóż się dziwić! Do jakiego stopnia tu wszystko, a więc lud i inteligencya jęczy pod grozą niemieckiego teroryzmu, świadczy wymownie ten fakt charakterystyczny, że w mieście, w którem mieszkam, katolicki ksiądz polskiego pochodzenia, więziony w czasie walki kulturnej z łaski emeryta z Friedrichsruh, figuruje jako członek komitetu na listach zapraszających do udziału w „*Bismarkfeier.*“ W sympatye jego do Bismarka nikt nie uwierzy, a najmniej ci, którym oczy chce mydlić, — boi się, więc słucha komendy.

Za to z pomiędzy prostego ludu mamy takie przykłady jak np., że zamożna lecz prosta chłopka list zapraszający do komitetu dam dla zbierania składek na rzecz Bismarka z wcale energicznym dopiskiem zwróciła, protestując przeciwko posługiwaniu się jej nazwiskiem pod odezwami komitetu. Krok ten zacnej Polki ślązkiej dowodzi niezwykłej na tutejsze stosunki odwagi cywilnej, w obec której *ksiądz kuratus*, jako człowiek inteligentny, do niepoznania maleje i niknie.

Nie tylko osoby pojedyńcze, lecz całe towarzystwa katolickie umieją tutaj pogodzić swój katolicyzm z adoracyą Bismarka. Tutejsze niem. katolickie towarzystwo pod kierunkiem księdza proboszcza uchwaliło wziąć gremialnie udział w korowodzie z pochodniami na cześć ekskanclerza. Mniej by to zastanawiało, gdyby nie fakt, że Polak z pod Jarocina rodem, głównie i, można rzec, jedynie do przeprowadzenia tej uchwały się przyczynił. Z wielkiem przejęciem przypominał zebranym, że Bismarkowi urzędnicy bardzo wiele zawdzięczają, więc usuwać się od tak podniosłego obchodu im nie wolno; że on jest urzędnikiem pruskim — jako pisarek w biurze komisyi podatkowej — i tak jak wszyscy tam obecni dobrym poddanym pruskim. Naturalnie, że po tak świetnem uzasadnieniu, wniosek przeszedł znaczną większością. Nadmienić nie zawadzi, że żona tego „polskiego Bismarczyka,“ znając zaledwie z grubszego język niemiecki woli ten język niemiłosiernie kaleczyć, niż przyznać się, że mówi po polsku.

Smutne te reminiscencye blędną w obec podniosłego wrażenia, z jakiem każdy uczestnik niedzielnego (17. 3.) zebrania Tow. kat. polsk. w Opolu salę opuszczał. Wspomnienie pośmiertne o ks. Damracie wypowiedział red. „Gazety Opolskiej“ p. Koraszewski w bardzo długiej i treściwej przemowie.

Widać było, że prelegent mówi o tem, co widział i w czem po większej części sam brał udział, bo wiele tam było szczegółów takich, o których tylko człowiek przestawający ze zgasłym poetą w pewnej zażyłości mógł się dowiedzieć. Wszystko to wypowiedziane było z pewną kwiecistością i wytwornością stylu, tak, że obawiałem się, czy słuchacze, po większej części prości, wszystko zrozumieją. Obawy moje okazały się nieuzasadnione, bo kilku innych mówców z klasy robotniczej i z ludu wiejskiego w przemówieniach swoich tych samych używali krasomówczych zwrotów, poprawnie i czysto; dowodzi to, że księdzu i nauczycielowi nie zniżać się do ludu, lecz lud do swego poziomu podnosić należy, czego na Ślązku niestety nie wszędzie przestrzegają, nawet nie we wszystkich redakcyach.

Pojedyńcze wykłady i przemówienia przeplatano śpiewem solowym i gremialnym, a całość robiła tak miłe i podniosłe wrażenie, że poszedłem tam dotąd zniechęcony deszczem-kapuśniaczkiem i niepowodzeniem przy załatwianiu własnych interesów, a wróciłem wesoły, i ani się nie spostrzegłem jak usta powtarzały co dopiero tam słyszane słowa i melodyę zapalnego mazura.

A że nie ja sam tylko ulegałem tym wrażeniom, widać było na twarzach wszystkich uczestników i ze słów mego towarzysza to wynikało, który umyślnie do Opola przyjechał, aby się przypatrzyć zebraniu i zebrać informacye celem założenia podobnego związku w miasteczku G. Szczęść Boże! starym i wszystkim nowym i przyszłym związkom, żyjącym podobnem życiem, co związek opolski.

Chim.

KRONIKA WIEDENSKA.

Wiedeń, 25 marca 1895.

(Wiedeńczycy i urodziny Bismarcka. — Interpelacya „Nationalpartei“ do ministra Madeyskiego. — Przyjęcie u ministra Bacquehema i u posła Abrahamowicza. — Lewakowski i emigracya chłopów do Brazylii.)

Książę Bismarck nie posiada najlepszej marki między Wiedeńczykami, którzy doskonale pamiętają Königrätz i Sadowę i każdego Niemca z „Cesarstwa“ zawsze za obcego uważają z przydomkiem „ein deutscher Bruder.“ To też z prawdziwą przyjemnością czytano tutaj telegramy i sprawozdania z berlińskiego Reichstagu i przebiegu obrad nad uczczeniem urodzin Bismarcka i wprost cieszono się, że takowe przez posłów zostało odrzucone. Nawet dzienniki z niemiecko-liberalnem odcieniem nie ujmują się za nim tak, jakby powinny. Zdaje się więc, że rola żelaznego kanclerza już odegrana, a nawet cesarz nie potrafi go wskrzesić do odegrania jej *da capo*.

Za to niemiecka Nationalpartei w parlamencie wniosła do ministra oświaty interpelacyę następującej treści: „W ostatnich dniach czytano w dziennikach wiadomość, jakoby niemieccy profesorowie szkół wyższych, którzy zamierzają wziąć udział w uczczeniu 80letnich urodzin Bismarcka, otrzymali ze strony ministerstwa oświaty przestrogę. Przedewszystkiem odnosić się to ma do profesorów wszechnicy w Insbrucku, na których wywierano w tym względzie presyę. Nie potrzeba dodawać, że takie wpływanie jest obrazą uczuć narodowościowych, i uważane być może za podejrzane zachowanie się patryotyczne. Stawia się zatem pytanie: Czy minister wydał takie rozporządzenie, jeżeli tak, to z jakich powodów, i jakiem prawem?“ Interpelacyę tę oddano ministrowi Madeyskiemu, który zapewne na najbliższem posiedzeniu parlamentu odpowie.

Tymczasem prowadzi się narady o reformie podatkowej. Niewiele te narady postępują

bo mówcy zwykle przed dość pustą salą opowiadają swoje żale lub żądania. Od czasu do czasu młodoczech lub antysemita jaki narobi trochę hałasu i zahuczy, — zresztą posłowie bawią się w *couloirach* lub siedzą w bufecie, prowadzonym obecnie we własnym zarządzie.

„Dobre jedzenie“ sprawił w ostatnią sobotę minister spraw wewnętrznych Bacquehem w swoich prześlicznych apartamentach przy Wipplingerstrasse. Było to oficyalne przyjęcie, na które ze strony ministra rozesłano więcej jak 500 zaproszeń, z których naturalnie prawie wszystkie uwzględniono! Poczawszy od najwyższej arystokracyi rodowej, kleru, urzędników cywilnych i wojskowych, ministrów, posłów z parlamentu i delegatów obcych mocarrstw, aż do szefów wszystkich redakcyi i ich reporterów, wszystko to było na przyjęciu, no, i na kolacyi. Gospodarz domu dokładał wszelkich starań, aby goście byli zadowoleni, co mu się też w zupełności udało. Po północy salony się wypróżniły. Spodziewają się tutaj wiele po tym wieczorze.

Papką, czapką i solą, ludzie ludzi niewolą, powtarza poseł Dawid Abrahamowicz, i wydaje u siebie także przyjęcia tygodniowe, na które zaprasza posłów wszystkich odcieni parlamentu austryackiego. Drogo kosztuje go to zapewne, ale ponieważ szanowny poseł znany jest ze swego bystrego patrzenia w przyszłość, maluczko, a wynagrodzi to sobie z procentem.

Poseł Lewakowski bawił dłuższy czas w Galicyi i był w Tarnopolu podczas procesu młodzieży, posądzonej o zdradę stanu i chęć odbudowania Polski, a ostatecznie jednogłośnie uwolnionej. Szanowny poseł badał stosunki chłopów i przyczyny emigracyi tychże do Brazylii i Stanów Zjednoczonych. Za wstawieniem się jego, namiestnictwo galicyjskie postanowiło wydawać paszporta legalne na wyjazd, tym naturalnie, którzy powinność wojskową odbyli i nie są na razie w kolizyi z sądem karnym. Zapewne, że takie wdanie się rządu w sprawę emigracyi pemoże do wyjazdu ginącym z głodu w Galicyi — nie zapobiegnie jednak wcale wyzyskowi agentów emigracyjnych i śmierci z nędzy tam, w Brazylii, gdzie lud nasz w miejsce murzynów przy plantowaniu kawy używają! Wydział krajowy coś także zaczyna myśleć o dowiadywaniu się, jak to tam idzie z tą wędrówką do Ameryki — a dowiaduje się najgorszych rzeczy i ogłasza je w dziennikach, których chłop całe swoje życie... nie widzi. a tem mniej czyta!

Wczoraj na ulicy spotkałem *32* mężczyzn i 11 kobiet młodych z Białki w Galicyi, którzy szli do agentury na Aleestrasse dla odebrania „schifkart“ do Brazylii. Prowadził całe to stado Iskariota, żydek polski. Powiedziałem im, szczęść wam Boże! ale w duszy myślałem o tem marnowaniu czasu przez naszych posłów w Sejmie i Parlamencie, o tem przelewaniu wody w rzeszoto przy rozprawach nad reformą wyborczą i podatkową i o tych obiadach koalicyjnych, gdzie wzajemnie i nieszczerze wołają Niemcy do Polaków: „Kochajme se“, co właściwie ma znaczenie: trzymajmy się razem, bo jak reforma przejdzie — to „bei Philippi sehen wir uns nimmer.“ *)

Xi.

*) Wyrażenie wiedeńskie.

W dzień urodzin ks. Bismarcka *)

Ile tylko spoczywało uśpionych żądz w słabem sercu człowieka współczesnego, on je obudził, powołał do życia i kazał w niem grać rolę naczelną: dawno, jeszcze za heleńskich czasów wyklęte harpie i erynie wydobył, niby nurek genialny, z samego dna wód letyjskich, przyoblekł w purpurę nowoczesnego panowania i narody zmusił do hołdu na rzecz ich, do haraczu, do hekatomby. Nad kołyską jego zbiegły się wszystkie potwory jaskiń czarowniczych, wyły hyeny, syczały gady — ale brakło miłości, cichych powiewów wiosny, szemrania strumieni, śpiewu ptasząt, brakło hosanny natury. Gdy podrósł i potężną spiżową dłonią ujął, niby kleszczami, umysł, serce narodów europejskich — na nieszczęście ludzkości całej nie napotkał żadnego oporu. Cóż znaczy drobny korab ludzkich losów wobec potęgi trąby morskiej, wobec siły orkanu? Ucichło wszystko wokoło, a gdy nie słyszano wśród ryku tryumfu głosów potępienia, zwykłym biegiem słabej myśli człowieczej, widzącej w powodzeniu sprawdzian wartości, uwierzony w nowy kanon, niby w ewangelię. Tego tylko trzeba było! Upojony zwycięstwem chwili, wpił się w organizm myśli i uczuć niemieckich tak głęboko, że umiał wyprzeć z nich na długie i dalekie czasy tę przecudną przędzę marzeń złocistych, którą złożyli tam Goethe i Schiller, Herder i Fichte. Jemu mało było zwycięztw politycznych, mało było, że umiał tyrańskie swoje słowa wcielić w życie, „krwią i żelazem“ spoić rozsiane państwa i polityczne drobiny niemieckie; gdy nie było już ani Szlezwigu, ani Austryi, ani Francyi, rzucił się ku wewnętrznym stosunkom państwa i zaryczał: Ausrotten! Ledwie uporał się z „kulturkampfem“ wynalazł prawa wyjątkowe — dla demokratów, dla Polaków, dla każdego kogo mógł zdusić, bo był słaby, a on, on jaśniał majestatem królewskim oprawcy — narodów. Talleyrand był łotrem, szpiegiem i oszustem, Metternich — nędznikiem, tyranem książąt i ludów, ale w galeryi tych i podobnych im portretów Bismark zajmie stanowisko osobne. Ten człowiek pił krew ludzką, a żył za dni naszych. Pamiętniki Bismarcka! Pisma stołeczne obiegła wiadomość, jakoby pewnemu wydawcy niemieckiemu udało się nabyć „pamiętniki“ Bismarcka za bajeczną sumę pół miliona marek. Pamiętniki Bismarcka! Zestawić te dwa wyrazy, powiedzieć je głośno i spojrzeć tylko, jakie obrazy wywoła przed okiem duszy! Jakież barwy piekielne złożą się na nie, barwy łuny pożarnej, rzezi średniowiecznej, Nie przedrze się przez te grube pokłady krwi ani jeden promień wiosny, ani też oko nie zajdzie mgłą radosnego upojenia. Czyż wreszcie one obejmą, mimo kłamstwo wszelkie, jakie mieścić będą, jedną myśl nową, jedno pragnienie nie wypowiedziane dotychczas, jedną hańbę, którejby nie znały dzieje ludzkości, jedną zbrodnię niebywałą? Spływa mi z pióra jedna parallela historyczna. Dzisiaj umiemy już odczytać napisy królów asyryjskich, umiemy podziwiać ich zasługi, któremi się chełpili, umiemy zajrzeć w głąb tej duszy królewskiej, która na straży swych tronów stawiała krwiożerczego wampira i byków skrzydlatych. Otwórz tylko księgę „Roczników“: „wyszedłem przeciwko wrogom moim — woła Salamanacar — zamkniętym w mieście, ściśnętem pierścieniem żelaznym oblężenia, wiele tysięcy z ich rycerstwa ściąłem przed bramą miasta, a gdy spotkaliśmy się w polu, wyrżnąłem 20 tysięcy z Damaszku, 100 tysięcy z Ir Kanatu, 10 tys. z Sizonu; a pomocą był mi Asur, mój bóg, który spuścił na wroga strach śmiertelny i rzucił go do nóg moich“; albo na innej stronnicy czytamy wyznanie Piglat-Pilecara: „...zająłem jego stolicę, uczyniłem ją na podobieństwo pustyni, spaliłem w ogniu; potem rzuciłem się na inne miasta, które zburzyłem, zrównałem z ziemią czarną, spopieliłem i wiatr uniósł ich potęgę niby piasek pustyni — ale Asur, „bóg mój, — jedyny, którego się boję“†), był mi zawsze gwiazdą, która prowadziła mnie do szczęścia, a wrogów moich wiodła na manowce zniszczenia...“

Czyż nie to samo, tylko że pisane tak dawno, że dziś, gdy to czytamy, wydaje nam się czemś dziwnem, niemożliwem, nieprawdopodobnem. I to jednak wraca nie w pieśni, ale w życiu. Jaką pozycyę wypełnił Bismark w katalogu grzechów narodowych niemieckich, tego ani obliczyć dziś nawet nie sposób. Gdyby nie on, nigdyby apostolstwo Nietzschego nie przyjęło się tak bujnie na glebie germańskiej. Tylko pychą zatruty organizm zdolny był i przygotowany do wchłaniania w siebie całego jadu, jaki zawiera ta najnowsza ewangelia, do indywidualizmu samolubstwa i bezlitości. Ojcem duchowym Nietzschego nie jest, bo ten pisać i czuć mógł samodzielnie, ale do ojców chrzestnych nietzscheanizmu mimo cały protest wyznawców zaliczyć musimo i żelaznego księcia. On umiał uczonych, niby Homerowa wróżka, przemieniać na potwory. Umiał tych, którzy go nienawidzili — jak Dahn — rozkochać w sobie, nauczył ich wypierać się tego, w co dawniej wierzyli i obwołać Bismarka nietylko pierwszym z mężów stanu, ale i pierwszym z ludzi. Dzisiaj Haeckel prowadzi w jego rydwanie młodzież jenajską, Dahn opowiada w swych obecnie wydawanych „Wspomnieniach“ (tom III) o wizycie w Friedrichsruh, o rozmowie z kanclerzem, jak o objawieniu niebieskiem i objeżdża Niemcy, głosząc tryumf „krwi i żelaza“.

Pamiętniki Bismarka! Gdy wyjdą — niechaj je oprawią w symbole uczuć i natchnień autora ich — w „szkarłat“ szatański, — niechaj zamkną na „żelazne“ klamry i złożą do muzeum pamiątek tortury. Tam jest dla nich miejsce właściwe: obok narzędzi męczarni, obok wspomnień Torquemady — niechaj spoczną i niechaj ludzkość o nich zapomni. Ale czyż tak prędko zapomni? Kto przewidzieć to potrafi? W cichości myśli wyznać się jednak odważymy, że duch jego żyć będzie długo jeszcze po gajach germańskich, że przez lata długie po śmierci jego wierzyć będą Niemcy, iż spoczywa kędyś w zamku spiżowym, niby Fryderyk Barbarosa — i niby trupa mitycznego króla asyryjskiego obwozić go będą ku zbudowaniu ziomków, ku zgorszeniu, ku hańbie ucywilizowanej ludzkości europejskiej.

Zen. Por.

*) Artykuł powyższy stanowi wstęp do większej pracy o ks Bismarcku, która niebawem ukaże się w formacie książkowym.

†) „Wir fürchten u n s e r n Gott, sonst Niemanden in der Welt. (Pamiętne słowa Bismarcka.)

W sprawie „Czytelni Ludowych“.

Z Kościana odbieramy z prośbą o umieszczenie pismo następujące:

„W nrze 11tym „Przeglądu“ omówione jest sprawozdanie zarządu Towarzystwa Czytelni Ludowych i niewesołe cyfry dochodów jego. Omówienie to dochodzi do konkluzyi, że w maszyneryi organizacyjnej nie wszystko musi funkcyonować prawidłowo, że nie wszyscy urzędnicy Towarzystwą obowiązki swe gorliwie sprawują. Tak jest, zdaje się, rzeczywiście; i urzędników, a raczej kolektorów jest za mało. — to błąd organizacyi — i ci, którzy są, nie dość gorliwie sprawami Towarzystwa się zajmują, to błąd urzędników.

Dla uzasadnienia tego twierdzenia niech następujący posłuży przykład.

Piszący to już od dwóch lat zamieszkuje jedno z mniejszych miast powiatowych. Pomimo tego nietylko nikt jeszcze do niego się nie zgłosił i do składki nie zawezwał, ale mimo licznych zapytań nie udało mu się dowiedzieć, kto jest mężem zaufania Towarzystwa, na czyje ręce składki oddawać należy. Widoczna ztąd, że kolektora na miejscu nie ma, boć ostatecznie mimo wszelkiej otaczającej go tajemnicy wywiedzieć by o nim się można.; dalej, że jeżeli kolektor jaki egzystuje, to chyba jeden tylko na cały powiat, a ten zamało sprawą się zajmuje.

Jeżeli wszyscy mężowie zaufania tak rzecz traktują, to dziwić się nie można, że Towarzystwo wiecznie z biedą walczy. Kolektorzy powinni być, co najmniej, w każdem mieście i w każdej parafii, powinni dalej składkujących werbować, a nie czekać spokojnie, aż się kto o nich dowie i sam do nich zgłosi.

Przy prawidłowej organizacyi i prawidłowem funkcyonowaniu wszystkich organów, możnaby po kilkakroć więcej zebrać, aniżeli dzisiaj się zbiera, i potrzeby Towarzystwa zadowolnić i zabezpieczyć.“

NA WYŁOMIE.

Spełnione przeczucia. — Teatr a prasa. — Jak się w Poznaniu wystawia sztuki?)

Gdy *Helena Modrzejewska* stąpała po deskach sceny poznańskiej, biorąc bez pardonu „w jasyr wszystkie *corda*,“ jak mawiał ś. p. Zagłoba, ostrzegałem dyrekcyę teatru przed gwałtownem zakręceniem śruby finansowej, dublującej w fałszywej spekulacyi normalne ceny biletów. Jest siła magnetyczna w geniuszu wielkiej artystki, której nawet lodowa obojętność i bezduszne skąpstwo oprzeć się nie zdoła, —

więc nie dziw, że chłodne i ubogie społeczeństwo nasze, mimo Sycylijskiego podatku pobieranego przez dyrekcyę teatru, szło się ukorzyć przed tem wielkiem słońcem sceny narodowej, które chyli się ku zachodowi, wielkie, piękne, pełne purpury i promiennych blasków. Może ono już po raz ostatni pali się w szkarłatach — za chwilę zgaśnie na zawsze. Więc płacił lud ubogi haracz nałożony i jak Gwebr modlił się do słońca.

Dyrekcya zacierała ręce, zwożąc obfite żniwo do stodoły, a chociaż podnosiły się głosy, że po sutych zapustach teatralnych nastąpi post długi i przykry, kierownik sceny pocieszał się starem przysłowiem „Jakoś to będzie.“ Ale „jakoś to będzie“ zawiodło i przeczucia moje spełniły się niestety.

Z chwilą wyjazdu Heleny Modrzejewskiej zaczęła się pustka przeraźliwa i pustka ta odtąd chronicznie nęka teatr poznański. Cztery czy pięć razy biedny suchotnik rozpromienił się nieco zdrowszym rumieńcem i na tuszy przybrał, ale wnet bladł znowu, mizerniał i chudł rozpaczliwie. Aż litość bierze w tych pustych przybytkach. Dyrektor, czterech recenzentów, 10 muzykantów, policyant z żoną lub bez żony, dwudziestu stałych przyjaciół teatru lub przejezdnych gości, — i koniec. Nikt więcej. Na te suchoty nie ma snać lekarstwa pan Dobrowolski, bo ani sympatyczna kapela „Sokołów“ ofiarująca usługi swoje jednemu z beneficyantów, ani występ pani Adolfiny Zimajer, ani nawet „ślubny“ benefis pana Czerniaka, który, mówiąc słowami dzienników poznańskich „na wiosnę gniazdko sobie ściele“, nie przysporzyły grosza teatralnej kasie i pierza „dla gniazdka“. Pan dyrektor zrozumie może teraz, że to systematyczne lekceważenie wszelkich rad, życzeń i wskazówek prasy, — to małoduszne „na złość“ kolegom po piórze, rozbrzmiewające bezustannie w dyrekcyjnym gabinecie, sprowadzić może fatalną katastrofę, która się zakończy śmiercią suchotnika.

Praktycznego zmysłu w budzeniu interesu publiczności dla sztuki nie ujawniło nigdy kierownictwo sceny, a w ostatnim czasie zapanowała zupełna senność i cisza. Dyrekcye innych, czy to polskich, czy niemieckich, czy francuzkich teatrów starają się między publicznością a sceną utrzymać kontakt bezustanny. W warszawskich Kuryerach, w krakowskim „Czasie“, w lwowskich dziennikach — nie mówiąc już o Berlinie i Paryżu — pojawiają się bezustannie wiadomości o obsadzie ról, zamówionych sztukach, próbach, kostyumach, dekoracyach i t. p. Skarżono się nawet niedawno z pewną słusznością na przesadę w tem figarowem reklamowaniu teatru i na wybujałość reporterskich namiętności, wykradających najdrastyczniejsze zakulisowe tajniki z biur, *parloir'ów* i ubieralni teatralnych, — my jednak w Poznaniu żalić się raczej musimy na zupełne zerwanie łączników między teatrem a prasą i publicznością. Małomiejska i uboga scena darzyć oczywiście nie może społeczeństwa tą powodzią szczegółów sensacyjnych, któremi dyrekcye innych teatrów zasilają dzienniki, ale i tu znalazłby kierownik, obdarzony odrobiną zmysłu praktycznego, dość materyału dla rozbudzenia uśpionego życia, interesu i przywiązania do sceny. Zręczny kupiec zna tysiączne sposoby reklamy, a chociaż nie pragnę bynajmniej, aby teatr traktowano na wzór „Aragosy-Hosenträger“ lub „Wachsmut's Hühneraugenringe“, to jednak liczę się z słabościami ludzkiemi i wiem że bez świecidełek i rakiet alarmujących obojętność płaszcz swój rozpościera nad publicznością. Cóż? u nas dyrekcya niechętnem spogląda okiem, gdy nowy aktor oddaje w redakcyach poznańskich bilet wizytowy. Artyście znać wolno jedynie „Dziennik Poznański“ — organ teatralny, — a na powitanie otrzymuje od monarchy swego upomnienie, aby się „nie wałęsał po redaktorach.“ Rozumiem dobrze intencye dyrekcyi. Tam, gdzie wewnętrzna gospodarka lękać się musi światła dziennego, tam między gronem artystów a prasą buduje się mur graniczny, by nikt nie zdradził tajemnic i słowem krytyki sprawiedliwej nie zagasił blasków fałszywych. Ale jakaż ztąd korzyść dla sceny? Prasa się zniechęca i nie zasilana informacyami przez dyrekcyę a nadto krępowana w stosunkach z artystami i lekceważona bezustannie w życzeniach swoich, patrzy na teatr okiem chłodnem i obojętnem. Za czasów dyrekcyi Doroszyńskiego innym był stosunek sceny do publiczności i prasy. Kochano teatr, interesowano się artystami, reklamowano zręcznie każdą nowość, bo kierownik liczył się z „siódmą potęgą świata“ i okazywał jej na każdem miejscu przyjaźń i szacunek.

Ta chroniczna wada rządów teatralnych w połączeniu z wycieńczeniem finansowem, spowodowanem występami pani Modrzejewskiej, jest główną przyczyną obecnej pustki, wiejącej z lóż, krzeseł i wyżyn olimpijskich. Człowiek siedzi w tym gmachu, słucha fałszywej muzyki i doznaje wrażenia przygnębiającego bankructwa. Próżnia, chłód, a w końcu kilka oklasków jak na pośmiewisko. Ludzie wstydzą się formalnie braw swoich w tej opustoszałej „świątyni.“

Lękam się że tej mroźnej obojętności nie rozproszy nawet sobotnia premiera p. *Sarneckiego*, — lękam się jeszcze więcej, że „*Harde dusze*“ ukażą się na deskach w scenicznem negliżu, który jest ulubionym strojem teatru naszego. Musiałby chyba czarodziejem być nasz reżyser teatralny, gdyby poprawną tualetę pięcioaktowego utworu w czterech dniach zdołał wykończyć. Role rozdano we *wtorek* wieczorem, pierwsza próba *bez manuskryptu w ręku* odbyła się *w piątek* rano, a *w sobotę* „idzie premiera.“ Cóż na to powie autor krakowski, gdy w Jagiellońskim grodzie usłyszy wieść zadziwiającą o niezwykłym pietyźmie dyrekcyi poznańskiej dla utworów rodzimych pisarzy? Mamy w gronie artystów naszych cenny materyał *ensemblowy* i kilka wybitnych talentów, lecz w takich warunkach teatr staje się nieraz jatką, — sztuki i autorzy ofiarą.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

„**Świata**“ zeszyt 6 zwraca na siebie uwagę bardzo ładną winietą tytułową w kolorach przez Romana Kochanowskiego oraz ośmiu rysunkami Piotra Stachiewicza, nader pięknie odwzorującemi kilka scen i postaci z dramatu „Harde dusze“ Elizy Orzeszkowej i Zygmunta Sarneckiego, cieszącego się powodzeniem na scenie krakowskiej. Dział literacki, jak zawsze, cenny i bogaty, a wyróżnić w nim należy piękne opowiaadanie noszące tytuł „Andrzej Stanisławowicz“ i cykl poezyi „Srebrny Dzwon“ przez Ludwika Szczepańskiego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Odrzucenie w parlamencie niemieckim wniosku o uczczenie ks. Bismarcka i telegram cesarski, potępiający uchwałę parlamentu, budzą w całej prasie europejskiej najżywsze zainteresowanie. Stronnictwo socyalistyczne zamierza wnieść interpelacyę w sprawie depeszy cesarskiej. — Projekt hr. Kanitza odrzuciła rada stanu 39 głosami przeciw 4 — Niemieckim ambasadorem w Petersburgu mianowany został ks Radolin. — W Belgii wzrastają bezustannie zaburzenia w okregach przemysłowych. Rząd powołał 7000 ludzi do szeregów, aby w samym zarodku zgnieść zakusy rewolucyjne. — W pruskiej izbie panów podało 30 członków izby, pomiędzy nimi także ks. Antoni Radziwiłł, wniosek o umieszczenie marmurowego biustu Bismarcka na sali posiedzeń.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę wznowiono na scenie naszej krotochwilę Abrahamowicza i Ruszkowskiego p. t. „Nihiliści“. Strona pamięciowa pozostawiała wiele do życzenia, a tempo powolne obniżało wrażenie utworu. Z artystów występujących zasługują na uznanie pp. Łaski, Trapszo, Skirmunt i Knapczyński, z artystek pp. Trapszowa i Królikowska. — Do repertuaru warszawskiego Teatru Rozmaitości powraca sztuka Feuilleta „Dalila“ z p. Lüdową w roli tytułowej. — Gabryela Zapolska wystąpiła w Maeterlincka „Interieur“ w teatrze l'Oeuvre, a wystąpi w sztuce Caraguela „Dym przed płomieniem“ w Théatre libre. — W teatrze krakowskim ma być wystawioną bajka czarodziejska Z. Sarneckiego p. t. „Szklana góra“ z muzyką Gala. — Nagrodzoną na konkursie sztukę Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“ wystawił w czwartek ubiegły teatr hr. Skarbka we Lwowie — Władysław Rabski pracuje nad nowym dramatem p. t. „Ruiny“. — Reżyser teatrów warszawskich, p Szymanowski powrócił już do zdrowia. Dyrektor Karandiejew bawi jeszcze w Berlinie.

Znany literat poznański p. Kaźmierz Puffke wygłosi we wtorek o godz. 6 w hotelu „Victoria“ odczyt „o kobiecie w dramacie współczesnym“.

Ruch pocztowy w Anglii dochodzi do imponujących rozmiarów jak wykazują dane statystyczne, ogłoszone niedawno w Londynie. W ciągu roku ubiegłego wyekspedyowano w zjednoczonem królestwie 2,789,500,000 listów, kart pocztowych, książek lub broszur, cyrkularzy, prób i dzienników, — co wynosi nieco więcej niż 72 przesyłek na każdego mieszkańca Wielkiej Brytanii i Irlandyi. W porównaniu z rokiem poprzednim cyfra powyżej wymieniona wykazuje powiększenie o 24 proc. Uwzględniając ten ruch olbrzymi, angielski urząd pocztowy otworzył 391 nowych biur pocztowych i 917 nowych skrzynek do listów.

Polki za granicą. W uniwersytecie genewskim wydział przyrodniczy ukończyły w r. z. panny: Marya Olszakowska i Julia Mierzyńska ze stopniem bakalarek, obydwie z odznaczeniem (avec approbation complète).

Wyrok śmierci na Pana Jezusa. W kaplicy w m. Caserta znajduje się płyta spiżowa, na której w języku hebrajskim wyryty jest wyrok śmierci na p. Jezusa. Płytę tę znaleziono w mieście Azuila, w byłem królestwie neapolitańskim, około r. 1280 przy sposobności poszukiwań archeologicznych. Przechowywano ją długi czas w zakrystji klasztoru Kartuzów w bliskości Neapolu, aż nareszcie przechowaną w hebanowej skrzynce, umieszczono ją w kaplicy w Caserta. Za czasów Napoleona I. miano ją wywieść do Francji, a tylko okoliczność, że Kartuzi nie małe ponieśli ofiary dla wojska francuskiego, zaważyła na szali i prośbie Kartuzów pozostawienia im nadal płyty uczyniono zadość. Francuska komisya artystyczna badała tę płytę szczegółowo, sporządziła dokładne tłomaczenie napisu w języku francuskim i autentyczności jej nie podała w najmnisjszą wątpliwość. Według tego tłomaczenia wyrok ten brzmi, jak następuje:

„Wyrok, wydany przez Poncjusza Piłata, namiestnika Niższej Galilei, opiewający, że Jezus z Nazaretu ma ponieść śmierć na krzyżu. W siedmnastym roku panowania cesarza Tyberjusza i w dwudziestym piątym dniu miesiąca marca w świętem mieście Jeruzalem, gdy Annasz i Kaifasz byli kapłanem i arcykapłanem Boga: Poncyusz Piłat, namiestnik Galilei, zajmując prezydyalne krzesło pretora, skazuje Jezusa z Nazaretu na śmierć na krzyżu pomiędzy dwoma łotrami, ponieważ wielkie i wiarogodne świadectwa ludu opiewają: 1. Jezus jest zwodzicielem; 2. Jezus jest podżegaczem; 3. Jezus jest wrogiem prawa; 4. mianuje się fałszywie synem Boga; 5. mianuje się fałszywie królem Izraela; 6. wszedł do świątyni, a za nim postępował tłum, niosący palmy w rękach. Rozkazuję pierwszemu centurjonowi Kwirylusowi Korneliuszowi zaprowadzić go na miejsce stracenia. Zakazuję wszystkim bogatym osobom przeszkadzać w wykonaniu wyroku śmierci na Jezusie. Świadkowie, którzy podpisali wyrok śmierci na Jezusa są: 1. Daniel Kobani, faryzeusz. 2 Jan Zerbatel. 3. Rafael Robani. 4. Capet, uczony w piśmie.“

Zmarli:

Alfons Szczerbiński, artysta, muzyk i kompozytor zm. 24 b. m. w Sremie. Zmarły ogłosił kilka utworów na fortepian i pozostawił w tece kilka cennych kompozycyi.

Juliusz ks. Noailles, pisarz francuzki, zm. 7 marca w Paryżu.

Kamila Collett, przewodniczka ruchu kobiecego w Norwegii. zm. 7 marca w Chrystyanii.

BIBLIOGRAFJA.

Ostoja. Wychowanka. Powieść. Petersburg. 1895 r.

Jan Kaźmierz Zieliński. Ofiary. Powieść Lwów. 1895.

Jan Kaźmierz Zieliński. Szkice. Lwow. 1895.

Maël Piotr. Żona artysty. Powieść. Przekład z francuzkiego. Cena 1,00 Mr.

Sales Piotr. Pomszczona cześć. Powieść. Przekład. Cena 2,00 Mr.

Wacław Rudnica Daniszewski. Uruchomienie własności ziemskiej i reforma kredytu rolnego ze stanowiska ekonomii społecznej. Dwa tomy. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Dębicki ksiądz Władysław Michał. Wielkie bankructwo umysłowe. Rzecz o nowoczesnym skrajnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym, z dodaniem studyum: Koniec wieku pod względem umysłowym. Charakterystyka znamion szczególnych. Cena 2,50 mr.

Gebhart Emil. Pod tyarą Papieża (1075—1085). Romans. Przekład z francuzkiego. Cena 1 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Mal. O adres Gabryeli Zapolskiej racz się pani poinformować w redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“, Warszawa ul. Czysta nr. 4.

Omega. Wiersza „Do poetów“ zamieścić nie możemy, lubo talentu autorowi nie odmawiamy. Forma pozostawia wiele do życzenia.

K. **w P.** Opinię naszą w tej sprawie wypowiedzieliśmy jasno i wyraźnie. Konsekwencye praktyczne objawią się na zebraniu, którego oczekujemy z niecierpliwością.

*** O ile nam wiadomo, nikt dotychczas „Małego Eyolfa“ na język polski nie przełożył. Radzimy się jednak pospieszyć.

Od Administracyi.

Prosimy uprzejmie, aby ktokolwiek z czytelników naszych raczył nam odstąpić Nr. 7 „Przegl. Pozn.“ Należytość zwrócimy odwrotną pocztą.

Za nakład i redakcyę odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.